

Wstęp

Pokolenie osiemdziesiątlatków, do których się zaliczam, wykrusza się w szybkim tempie. Okres egzystencji tego pokolenia przypadł na niezwykle niespokojne i trudne czasy obfitujące w wiele tragicznych nieraz wydarzeń.

Uczestnicząc w nich, bądź też będąc ich świadkami, winniśmy kierując się względami historycznymi, utrwalić o nich pamięć. Wojna zabrała nam najpiękniejsze lata naszego życia. Zapisała się w naszej pamięci, jako okres poniżenia, represji i stałego zagrożenia życia ze strony okrutnego reżimu hitlerowskiego. Okres powojenny to konieczność intensywnego nadrabiania straconych lat nauki i konieczność odbudowy ogromnych zniszczeń naszego kraju. Na nasze pokolenie, okrutnie dotknięte tragedią wojny, spadło główne zadanie odbudowy Polski. Skutkami największych zniszczeń wywołanych II wojną światową dotknięte zostały głównie dwa europejskie kraje. Były to Polska i Niemcy. Odbudowa Niemiec była hojnie wspierana przez finansjerę światową natomiast Polska, ze względów politycznych, nie miała takiej pomocy, nie mogła także skorzystać z dobrodziejstw tzw. planu Marshalla. W tych trudnych warunkach odbudowa naszego kraju spoczęła głównie na barkach naszego pokolenia.

Lata płyną wspomnienia bledną, ludzie odchodzą, zachodzi wewnętrzna potrzeba utrwalenia pamięci tamtych lat.

Okres międzywojenny

Urodziłem się 11 maja 1928 roku w Sosnowcu, jako syn Józefa i Stefanii z domu Opara. Ojciec mój urodził się w Szczekarzowie w powiecie Pińczowskim. W trakcie wojny polsko-bolszewickiej został, jako żołnierz ciężko ranny. Po wyjściu ze szpitala zgłosił swój udział, jako ochotnik w III Powstaniu Śląskim. Do wybuchu wojny pracował w biurze notarialnym notariusza Jewniewicza w Sosnowcu. Moja matka urodziła się w Czeladzi w rodzinie górniczej. Jej ojciec, a mój dziadek, Piotr Opara, jako górnik przez całe swe życie zawodowe związany był z kopalnią „Piaski” („Czeladź”).

W okresie międzywojennym rodzina moja mieszkała w Katowicach przy ul. Kościuszki 28. Moj starszy brat Wacław do chwili wybuchu wojny był uczniem gimnazjum im. A. Mickiewicza w Katowicach. Ja uczęszczałem do szkoły podstawowej im. Bartosza Głowackiego w Katowicach, gdzie do wybuchu wojny ukończyłem 4 klasy. Okres nauki w tej szkole wspominam z rozrzewnieniem. Wspaniała kadra pedagogiczna z pełnym zaangażowaniem, poza przekazywaniem nam wiedzy, kształtowała u nas poczucie patriotyzmu oraz umiejętności współżycia w środowisku ludzi różniących się zwyczajami religijnymi i statusem materialnym. W mojej klasie byli uczniowie reprezentujący różne wyznania oraz wywodzący się z rodzin o bardzo zróżnicowanym statusie materialnym. Był w tym gronie syn właściciela kilku kin w Katowicach (Flaszen), syn właściciela dużego przedsiębiorstwa transportowego (Dawidowicz), syn wysokiego urzędnika Urzędu Wojewódzkiego (Małodobry – powojenny reprezentant Polski w szermierce) oraz syn pułkownika z 73 pułku piechoty – stacjonującego w Katowicach, którego odprowadzał i odbierał ze szkoły ordynans pułkownika (nazwiska tego kolegi nie mogę sobie przypomnieć). Byli także uczniowie z rodzin średniozamożnych oraz bezrobotnych.

Mimo tych różnic wpajano w nas zasady wzajemnego szacunku i koleżeńskości.

W okresie międzywojennym na Śląsku nie było szkół koedukacyjnych – były szkoły męskie, bądź żeńskie.

Nauczycielami były z reguły osoby niezamężne. Nauczycielki wychodzące za mąż były zobowiązane do rezygnacji z pracy. Wychodzono z założenia, że zamążpójście dawało gwarancję utrzymania i w tej sytuacji stwarzano możliwość zatrudnienia osobom poszukującym pracy. Inne było także podejście do problemów wychowawczych. Gdy nasza wychowawczyni pani Helena Ławniczak zaproponowała nam, czwartoklasistom, zorganizowanie wycieczki do Krakowa – utworzyliśmy klasowy zespół organizacyjny, którego zadaniem było zebranie pieniędzy na ten cel. Zbiórka środków trwała cztery

miesiące. Uczniowie wnosili składki w zależności od swych możliwości. Część z nich, by uczestniczyć w zbiórce pieniędzy zbierała złom, makulaturę i butelki, a uzyskane ze sprzedaży środki przekazywała do wspólnej kasy. Po czterech miesiącach zbiórki, wynajętym autobusem wycieczka pojechała do Krakowa. Po zwiedzeniu Wawelu, Smoczej Jamy i zjedzeniu skromnego obiadu wróciliśmy do Katowic.

Byliśmy dumni z faktu, że wyjazd ten został zorganizowany wspólnie w oparciu o własne, zebrane pieniądze. W obecnych czasach wycieczki takie są organizowane na innych zasadach. Szuka się sponsorów dla sfinansowania części kosztów takiej wycieczki, zaś do zebrania reszty środków zobowiązani są rodzice uczniów. W przypadku, gdy rodziców nie stać na wniesienie opłaty, dziecko nie uczestniczy w tej wycieczce. Rodzi to zdecydowanie negatywne skutki wychowawcze. Można wspomnieć także o realizowanej w tym czasie formie pomocy dla kolegów wywodzących się z niezamożnych rodzin. Komitet rodzicielski, w porozumieniu z zainteresowanymi rodzicami ustalał wykaz uczniów potrzebujących pomocy oraz rodzin przyjmujących na siebie obowiązek świadczenia takiej pomocy. Po zakończeniu lekcji kolega ten udawał się ze mną do domu, jedliśmy razem obiad, odrabialiśmy lekcje i do wieczora spędzali wolny czas. W następnym dniu, obok swojego, zabierałem dla niego śniadanie. Sytuacja taka trwała przez miesiąc i po tym okresie obowiązki te przejmowała następna rodzina. Odbywało się to na zasadach wzajemnej pomocy, bez szukania sponsorów.

Przed 1 września 1939 roku, po ogłoszeniu stanu powszechnej mobilizacji, ojciec mój wyjechał do Krakowa – do swojej jednostki wojskowej. W dniu wybuchu wojny znajdowaliśmy się z matką i bratem w Katowicach. Atmosfera była bardzo napięta. W dniu 1 września Niemcy przeprowadzili bombardowania obiektów lotniska w Katowicach-Muchowcu. W dniu tym, korzystając z nadarżającej się okazji, wyjechaliśmy do rodziny mieszkającej w Kazimierzu Górniczym koło Sosnowca. Tam też, po kilku dniach, zobaczyłem pierwszych żołnierzy niemieckich. Po powrocie do Katowic zastaliśmy nasze mieszkanie okradzione. Okazało się, że żona ówczesnego dozorca domu wraz z inną sąsiadką, wiedząc, że mieszkanie jest puste, a chcąc uzyskać do niego dostęp, powiadomiły bojówkę niemiecką, że z tego mieszkania strzelano do wkraczających Niemców. Po wyłamaniu drzwi wejściowych i stwierdzeniu, że w mieszkaniu nikogo nie ma, bojówka wycofała się zostawiając otwarty dostęp do jego wnętrza. Okoliczności tego wydarzenia opowiedzieli nam mieszkańcy domu.

W okresie tym, życie w mieście dla ludności deklarującej swą narodowość, jako polską nie było łatwe. Były to niezbyt częste przypadki, ale ze strony niektórych rodzimych

mieszkańców spotykały nas szykany i wyzwiska w postaci „polskich świń” czy „przeklętych Polaków” wypowiedane oczywiście po niemiecku.

By utrzymać rodzinę, moja matka wykorzystując wieloletnie znajomości z pracownikami okolicznych sklepów spożywczych, kupowała od nich pozostałe po realizacji sprzedaży kartkowej nadwyżki żywności, które wozila i sprzedawała w Sosnowcu wykorzystując różnice cenowe tych produktów. Było to główne źródło utrzymania naszej rodziny. Brat Waclaw, by uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec, podejmował się różnych prac, głównie, jako robotnik w firmach budowlanych. Ja przebywałem w domu do czasu, kiedy matka moja otrzymała pismo, że powinna zapisać mnie do szkoły, w przeciwnym przypadku będzie musiała zapłacić karę w wysokości 50 marek. Skierowano mnie do szkoły przy ul. Jagiellońskiej gdzie istniała jedna wydzielona klasa przeznaczona dla dzieci z rodzin deklarujących narodowość polską. Z uwagi na to, że większość uczniów nie znała języka niemieckiego, nauczanie obejmowało naukę tego języka oraz matematykę. Opiekunem tej klasy był przybyły z Wrocławia, inwalida z okresu I wojny światowej o nietypowym jak na Niemca nazwisku Affa. Był zagorzałym hitlerowcem, co stale podkreślał. Ponadto w stosunku do uczniów był niezwykle brutalny i często, jako środka wychowawczego używał swej laski. Początki nauki języka niemieckiego zaczynaliśmy od uczenia się na pamięć życiorysu Adolfa Hitlera. Codziennie rano w szkole odbywał się apel uczniowski połączony z wciąganiem flagi na maszt i śpiewaniem pieśni „Die Fahne hoch”. Nasza klasa była stawiana z tyłu, pod murem budynku i nie wymagano od nas uczestniczenia w śpiewaniu tej pieśni. Po pewnym okresie czasu klasy tego typu z naszej oraz innych szkół w Katowicach, zostały przeniesione do siedziby byłej prywatnej szkoły, która znajdowała się na ul. Kościuszki, powyżej obecnej ul. Szeligiewicza. Tam wychowawczynią była młoda Niemka pochodząca z Nadrenii, która w odróżnieniu od swego poprzednika, była bardzo sympatyczną osobą. Kontakt z tą szkołą został przerwany w wyniku wysiedlenia mojej rodziny z Katowic w styczniu 1941 r.

Uroki życia w rzeszy niemieckiej – historia pani Rakoniewskiej

Biorąc udział, jako żołnierz, w walce z Niemcami w 1939 r. ojciec mój dostał się do niewoli i został osadzony w obozie jenieckim na terenie Niemiec.

Na początku 1940 roku przyszła do mojej matki jej znajoma pani Truchlińska z zaskakującą propozycją. Jeden z jej synów był przed wojną w jednej klasie gimnazjum z moim bratem Waławem, zaś najstarszy syn, jako żołnierz brał udział w kampanii wrześniowej i również znalazł się w niewoli niemieckiej. Pani Truchlińska powiedziała mojej matce, że poznała ważnego pracownika policji niemieckiej, który zaproponował jej, za odpowiednim wynagrodzeniem, załatwienie zwolnienia jej syna a także mojego ojca z niewoli niemieckiej. Mając pewne opory matka uległa jednak namowom znajomej i zgodziła się na tę propozycję. Po zainkasowaniu pewnej sumy ów policjant zaczął dosyć często odwiedzać nasze mieszkanie i opowiadać o rzekomo podejmowanych działaniach. Był to mieszkający w Katowicach mężczyzna o nazwisku Christ. Zawsze występował w cywilnym ubraniu i poprawnie mówił po polsku. Twierdził, że przed wojną, za okazywane sympatie proniemieckie był prześladowany i zmuszony do ucieczki na terytorium Niemiec. Stale chwalił się swymi osiągnięciami w działalności policyjnej. Ponieważ jego wizyty stały się dość natrętne a efekty jego działalności żadne, matka doszła do wniosku, że jest to zwykły naciągacz. W zaistniałej sytuacji zerwanie z nim kontaktów było jednak trudne.

Pewnego dnia, po powrocie do domu, zastałem kompletnie zdemolowane mieszkanie i zapłakaną matkę. Okazało się, że do naszego mieszkania przyszło kilku nieumundurowanych funkcjonariuszy policji i po przeprowadzeniu gruntownej rewizji aresztowało mojego brata Waławę nie podając żadnych przyczyn tego działania. Oświadczyli jedynie, że brat zostanie dowieziony do więzienia przy ul. Mikołowskiej.

Historia z tym związana miała dalszy, nieoczekiwany przebieg i warta jest opisanie. Przed wybuchem wojny, przyjaciel mojego ojca, adwokat mieszkający w Warszawie był właścicielem dużej kamienicy w Katowicach, przy ul. Konopnickiej Nr 2. Na jego prośbę, ojciec mój sprawował nadzór nad administracyjnym funkcjonowaniem tego obiektu. Funkcję dozorczyńni pełniła w tym domu pani Rakoniewska, żona inwalidy z okresu Powstania Wielkopolskiego. Z tego względu bywała w naszym domu bardzo często i zdawała ojcu relację z pełnienia swej funkcji. Ojciec mój, darząc sympatią to małżeństwo i chcąc mu pomóc w poprawie jego sytuacji materialnej, namówił pana Rakoniewskiego do otwarcia małego zakładu fotograficznego. Zakład ten powstał przy ul. Kościuszki na parterze, z uwagi na to, że pan Rakoniewski z racji swego stanu fizycznego korzystał z wózka inwalidzkiego.

Kontakty z rodziną państwa Rakoniewskich zostały przerwane w wyniku wybuchu wojny i niewoli mojego ojca.

Krótko po aresztowaniu mojego brata, nieoczekiwaną wizytę złożyła matce pani Rakoniewska, chcąc dowiedzieć się, co dzieje się w naszej rodzinie. Elegancko ubrana i pewna siebie była zupełnie inną osobą niż w minionym okresie czasu. Nie omieszkała w rozmowie wyrazić swego zadowolenia, że Śląsk znalazł się w rękach niemieckich, co daje gwarancję takiej władzy, która na tym terenie zaprowadzi nowe, sprawiedliwe porządki. Okazało się, że pani Rakoniewska, przed wybuchem wojny, była aktywną działaczką niemieckiego podziemia na Śląsku. Nie omieszkała się również pochwalić, że za aktywną działalność proniemiecką na Śląsku nadano jej złotą odznakę NSDAP. Gdy dowiedziała się od matki o aresztowaniu brata jak również o oszustwie dokonanym przez pracownika policji niemieckiej pana Christa, namówiła moją matkę by wspólnie udały się do siedziby więzienia przy ul. Mikołowskiej. Tam bez trudu dotarła do komendanta tego więzienia. W trakcie burzliwej z nim rozmowy, wyrażając swą pozytywną opinię o mojej rodzinie, powiedziała również o oszustwie, jakie popełnił pracownik policji Christ. Po tej informacji matka moja została doproszona do tego spotkania i zobowiązana do szczegółowego zreferowania okoliczności tej sprawy. Zaznaczono, że od wyjaśnienia jej może zależeć zwolnienie brata z więzienia. Następnie po dostarczeniu do siedziby komendanta więzienia katalogów z fotografiami i danymi personalnymi pracowników policji zażądano od matki by wskazała na podobiznę p. Christa. Matka bez trudu wskazała na tego człowieka. Po tym spotkaniu komendant więzienia oświadczył matce, że brat zostanie zwolniony. Po dwóch dniach pani Rakoniewska ponownie odwiedziła matkę i zapytała czy brat został zwolniony. Ponieważ to nie nastąpiło, ponownie udała się do komendanta więzienia. W następnym dniu brat wrócił do domu z fioletowymi od bicia plecami i udami. W trakcie jego przesłuchań i bicia żądano od niego przyznania się do udziału we włamaniu do jakiegoś sklepu tekstylnego, o czym nie miał on pojęcia. Sprawa wyjaśniła się nieco później. Okazało się, że pan Christ był w okresie międzywojennym znany władzom polskim, jako notoryczny włamywacz i w związku z tym dość często za te występki odbywał karę więzienia. Przed wybuchem wojny, chcąc uniknąć kolejnych wyroków, uciekł do Niemiec, głosząc tam, że musiał opuścić Polskę w związku z prześladowaniem jego osoby ze względów politycznych. Znajdując zatrudnienie w policji niemieckiej nie zawiesił swej złodziejskiej działalności i uprawiał ją równoległe z funkcją policyjną. To on dokonał włamania do sklepu z materiałami tekstylnymi przy obecnej ul. Staromiejskiej i zgłosił, że stało się to przy udziale mojego brata. Prawdopodobnym celem takiego działania mogła być próba usunięcia mojej rodziny z zajmowanego mieszkania, które

panu Christowi bardzo się podobało. Finał tej sprawy był dość nieoczekiwany. Odbyła się rozprawa sądowa w wyniku, której pan Christ został skazany na karę więzienia. W związku z tym wydarzeniem na łamach gazety „Kattowitzer Zeitung” ukazała się informacja, że polski bandyta, który wiele lat spędził w więzieniu za dokonane przestępstwa, podając się za pracownika policji niemieckiej oszukał dwie polskie kobiety i wyłudził od nich pieniądze. Został za to skazany na karę więzienia.

Opisana historia świadczy o tym jak złożone były na Śląsku stosunki międzyludzkie i zachowania mieszkańców tego regionu. Kontakty z panią Rakoniewską urwały się z chwilą naszego wysiedlenia z Katowic. Jest jednak faktem, że dzięki jej zaangażowaniu mój brat mógł opuścić katowickie więzienie po fałszywym oskarżeniu go przez kryminalistę i jednocześnie niemieckiego policjanta.

Wysiedlenie z Katowic

W końcu 1940 roku ojciec mój, z uwagi na chorobę serca, został zwolniony z niewoli niemieckiej i wrócił do Katowic. Po krótkim pobycie wyjechał do Warszawy by tam stworzyć warunki do przeprowadzenia naszej rodziny z Katowic do Warszawy. Starania o załatwienie transportu drogą kolejową mebli i pozostałego dobytku do Warszawy napotykały na znaczne trudności, głównie z uwagi na fakt, że stroną występującą o załatwienie tej sprawy była rodzina polska.

W dniu 21 stycznia 1941 roku rodzina moja została objęta programem wysiedlenia Polaków ze Śląska. Około godziny piątej rano przyszło do naszego mieszkania 3 mundurowych policjantów z tzw. Schutzpolizei (Schupo) i polecilo się nam ubierać. Ponieważ na liście mieli trzy nazwiska matki, brata i moje, a brat Waclaw był w tym czasie nieobecny gdyż pracował na nocnej zmianie, jako windziarz w hotelu „Eichendorf” (obecnie hotel „Polonia” na ul. Kochanowskiego), musiałem udać się po niego w towarzystwie jednego z policjantów. Mimo, że miałem wtedy 13 lat byłem prowadzony ul. Kościuszki, przez Plac Miarki i ul. Kochanowskiego cały czas pod bronią. Policjanci nie pozwolili nam nic zabrać, poza rzeczami osobistymi, a w czasie gdyśmy się ubierali plądrowali mieszkanie i chowali do swych kieszeni przedmioty, które im się podobały. Jeden z nich znalazł w szafce 3 albumy znaczków pocztowych, które triumfalnie, jako zdobycz, wsadził sobie pod pachę. Zostaliśmy doprowadzeni do budynku ówczesnej policji (obok Urzędu Wojewódzkiego) i ulokowani w piwnicach tego budynku. Znalazło się tam kilkaset rodzin wysiedlanych Polaków. Dzień ten był bardzo mroźny – temperatura spadła wtedy do około -20°C . W tym samym dniu załadowano nas na samochody ciężarowe i przewieziono do Sosnowca. Tam ulokowano nas w nieczynnej, bardzo dużej hali byłej fabryki Schoena. Na betonowej posadce tej hali położone było nieco słomy, na której spaliśmy przez kilka dni. Po tygodniu zaprowadzono nas na dworzec kolejowy i załadowano do pasażerskich wagonów kolejowych tak zagęszczonych, że trudno było znaleźć wygodne miejsce do siedzenia. Ponieważ wagony były zamknięte, w pociągu panował znaczny zaduch. Pragnienie gasiliśmy zlizując z szyb skroploną parę wodną. Po pewnym czasie znaleźliśmy się na bocznicie kolejowej w Tarnowie. Konwojujący nas strażnicy niemieccy zniknęli a do pociągu zaczęli podchodzić mieszkańcy okolicznych zabudowań. Po otwarciu pociągu opiekę nad nami przejął zespół ludzi kierowany przez ówczesnego dyrektora lokalnego Caritasu ks. dr Karola Pękałę. Otoczono nas wspianią opieką. Ulokowano w 2 miejscowych szkołach gdzie zetknęliśmy się po raz pierwszy od kilku dni z ogrzewanymi pomieszczeniami (piece kaflowe ogrzewane były gazem ziemnym)

i dostaliśmy gorący posiłek. Serdeczność i zaangażowanie księdza Pękali i towarzyszących mu mieszkańców Tarnowa zasługuje na najwyższe uznanie i wyrazy wdzięczności. Ksiądz Pękala przeprowadzał rozmowy z przedstawicielami kolejnych rodzin w celu udzielenia im pomocy w dotarciu do rodzin względnie znajomych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. My chcieliśmy udać się do Warszawy, do znajdującego się tam ojca, jednak szczupłość funduszy, jakimi dysponował ksiądz Pękala pozwoliła jedynie na pokrycie kosztów przejazdu do niedaleko położonego Krakowa. W mieście tym zatrzymaliśmy się na krótko u znajomych moich rodziców i za pożyczone od nich pieniądze dojechaliśmy do Warszawy. W gronie wysiedlonych znajdowały się także rodziny o śląskim rodowodzie. Byli to członkowie rodzin powstańców śląskich względnie działaczy organizacji polskich na Śląsku. Ludzie ci nie mieli rodzin ani znajomych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Dzięki zabiegom księdza Pękali lokowani oni byli u gospodarzy okolicznych wsi.

W Warszawie, w początkowym okresie zamieszkaliśmy w udostępnionym nam pokoju w mieszkaniu pracodawcy i przyjaciela mojego ojca pana notariusza Jawniewicza. Mieszkanie to mieściło się na ul. Kapucyńskiej 6. Później mieszkaliśmy na ul. Senatorskiej 17 i następnie na ul. Podwale 11 gdzie dzieliliśmy mieszkanie z rodziną pani Zellerowej.

W Warszawie zacząłem uczęszczać do szóstej klasy polskiej, publicznej szkoły powszechnej Nr 22 przy ul. Miodowej. Kierownikiem szkoły był w tym czasie pan M. Gładysz zaś wychowawcą klasy pan T. Borzęcki. Byli to znakomici pedagodzy, ale także wielcy patrioci. Według systemu ustalonego przez władze okupacyjne likwidacji uległy szkoły gimnazjalne oraz licealne, wprowadzono natomiast naukę w podstawowej szkole siedmio klasowej, a po jej ukończeniu obowiązkową naukę w dwuletniej szkole zawodowej. Gdy kończyliśmy szóstą klasę, nasz wychowawca przeprowadzał z nami rozmowy pytając czy zamierzamy podjąć naukę na poziomie gimnazjalnym. W przypadku wyrażenia takiego zamiaru, formowano z nas kilkusobowe komplety, które zbierając się w godzinach popołudniowych w różnych mieszkaniach miały kontakty z kolejnymi wykładowcami i przerabiały program pierwszej klasy gimnazjalnej. Odbywało się to równoległe z uczęszczaniem do siódmej klasy szkoły powszechnej. Przed ukończeniem tej szkoły, jej kierownik pan Gładysz oraz opiekun klasy pan Borzęcki w ramach prowadzonych z nami rozmów wskazywali nam, w których szkołach zawodowych winniśmy podjąć naukę. Mnie zasugerowano zapisanie się do Obowiązkowej Szkoły Zawodowej Nr VII mieszczącej się przy ul. Brackiej 18 (niemiecka nazwa Orderstrasse 18). Kierownikiem tej szkoły był dr inż. R. Zieliński. W praktyce było to zakamuflowane gimnazjum. Ponieważ oficjalnie była to szkoła ogrodniczo-leśna, przy rozłożonych na ławkach książkach o pielęgnacji roślin

– przerabialiśmy normalny kurs drugiej klasy gimnazjalnej. Na wydanych przez szkołę kontrolkach obecności ucznia było stwierdzenie, że jesteśmy pracownikami Zakładu Hodowli Roślin podlegającemu Wydziałowi Ogrodniczemu Zarządu Miejskiego w Warszawie mającemu siedzibę przy ul. Chodkiewicza Nr 11. W związku z tym wydano nam Karty Pracy (Arbeitskarte), których posiadanie chroniło, w razie łapanek ulicznych, przed wywiezieniem na roboty do Niemiec.

W kartach pracy, w rubryce zawód, mieliśmy wpisany „ogrodnik”. Przez 3 dni w tygodniu mieliśmy zajęcia w szkole, a przez pozostałe 3 dni odbywaliśmy praktykę w Warszawskich Zakładach Hodowli Roślin. W naszej klasie byli głównie warszawiacy, ale także wysiedleni z Torunia (Nitecki), z Bydgoszczy (Wiśniewski), czy też ze Śląska. Tworzyliśmy zgraną, niezwykle patriotyczną grupę. Niestety, zdecydowana większość tych wspaniałych młodych ludzi straciła życie w trakcie tragicznego wydarzenia, jakim było Powstanie Warszawskie.

Powstanie Warszawskie

Powstanie Warszawskie to jeden z najbardziej tragicznych epizodów w dziejach naszego kraju. W historii Polski miało miejsce wiele zrywów niepodległościowych wywoływanych z reguły w sytuacjach z góry skazanych na niepowodzenie. Ich konsekwencją były liczne ofiary, aresztowania, zsyłki, likwidacje majątków i konieczność masowych emigracji. W ten sposób kraj nasz tracił systematycznie liczne zastępy patriotycznej elity intelektualnej. Wybitny nasz rodak Stanisław Staszic kierował do społeczeństwa polskiego apel: „być narodowi użytecznym”. Postulat ten, co jest rzeczą oczywistą mogą spełnić wyłącznie ludzie żywi. Nie mogą tego wykonywać ci, którzy dla dobra kraju ofiarują swoje życie.

O tym, że Powstanie Warszawskie nie miało najmniejszych szans powodzenia wynika ze studiów licznych publikacji poświęconych temu tematowi. Książki prof. Jana Ciechanowskiego, prof. Janusza Kazimierza Zawodnego, prof. Normana Daviesa, Kazimierza Kąkola, Jacka Owczarskiego i wielu innych publicystów dosyć szczegółowo opisują sytuację poprzedzającą decyzję o wywołaniu powstania.

Sytuacja geopolityczna, jaka powstała w następstwie wybuchu II wojny światowej była niezwykle złożona. W tych warunkach troska o losy Polski po zakończeniu tej wojny wymagała szczególnego poczucia realizmu i umiejętnie prowadzonej polityki przez ośrodki jakie reprezentowały nasz kraj na uchodźstwie. W Londynie znajdowała się siedziba rządu polskiego na uchodźstwie, tam także działał prezydent R.P. na obczyźnie. Stanowisko premiera i Naczelnego Wodza pełnił początkowo gen. Władysław Sikorski, a po jego śmierci premierem rządu został Stanisław Mikołajczyk, zaś stanowisko Naczelnego Wodza objął gen. Kazimierz Sosnkowski. W Londynie działała także Rada Narodowa, której przewodniczącym był Stanisław Grabski. W kraju główną siłą polityczną była Komenda Główna Armii Krajowej na czele której stał gen. Grot Rowecki, zaś po jego aresztowaniu przez Niemców – gen. Bór-Komorowski. W Warszawie powołana została także Rada Jedności Narodowej, której przewodniczącym był Kazimierz Pużak. Działał także Delegat Rządu RP na kraj w randze wicepremiera. Był nim Jan Stanisław Jankowski.

Te ośrodki reprezentujące nasz kraj nie były w stanie wypracować wspólnych, uzgodnionych zasad polityki uwzględniających realia wynikające z sytuacji geopolitycznej. Prezentowane były różne koncepcje dotyczące powojennego kształtu Polski po zakończeniu II wojny światowej. Najbardziej realistyczną ocenę sytuacji prezentował gen. Władysław Sikorski. Uważał on, że w sytuacji w jakiej znalazł się naród polski, mimo niewątpliwych

nieraz kontrowersyjnych zaszłości historycznych porozumienie z Rosją jest konieczne. Dał temu wyraz między innymi w piśmie do dowódcy AK z dnia 6 lutego 1943 r. gdzie napisał: „*Musicie zrozumieć, że wojny na dwa fronty Polska ani dzisiaj ani w przyszłości prowadzić nie może i że przymierze z Rosją jest koniecznością*”. Podobny pogląd wyrażał także zastępca szefa Sztabu AK do spraw operacyjnych gen. Tatar oraz wielu innych wojskowych.

Generał a zarazem Premier nie znajdował jednak zrozumienia u wielu członków swojej ekipy, a co było dla niego najgorsze, ze strony najbliższych, wpływowych generałów u gen. Sosnkowskiego i gen. Andersa. Reprezentowali oni odmienną wizję postępowania. Opierali się oni na założeniu, że linia ideowa walki o niepodległość winna być oparta na doktrynie dwóch wrogów. Uważali, że jakiegokolwiek rozmowy ze Związkiem Radzieckim będą traktowane, jako element zdrady interesów narodowych, zaś podstawą polskiego planowania operacyjnego zarówno w Londynie jak i w kraju miało być uporczywe trwanie przy założeniu, że nasi zachodni sojusznicy zagwarantują nam pomoc wojskową i dyplomatyczną w rozgrywce z Rosjanami.

W związku z tragiczną śmiercią gen. W. Sikorskiego funkcję naczelnego wodza objął gen. Kazimierz Sosnkowski, premierem rządu został Stanisław Mikołajczyk. Po śmierci generała W. Sikorskiego zabrakło autorytetu, który byłby nosicielem koncepcji pozwalającej Polsce wyjść zwycięsko z drugiej wojny światowej. W wyniku odsunięcia na boczny tor zwolenników koncepcji gen. W. Sikorskiego dominujący wpływ na politykę rządu londyńskiego uzyskali zwolennicy fantazjowania na tematy polityczne i obracania się w świecie iluzji, zamiast myślenia w kategoriach politycznego realizmu.

Postanowienia Wielkiej Trójki podjęte na konferencji w Teheranie odbytej w końcu 1943 r. określiły powojenny układ granic w Europie. Decyzje te świadczyły jednoznacznie, że Polska wyzwolana będzie przez Armię Czerwoną, a nie siły anglosaskie, jak przewidywał i pragnął tego obóz londyński. Ustalono ponadto, że zachodnia granica Polski będzie przebiegać w oparciu o bieg rzeki Odry, wschodnia zaś w oparciu o tzw. „linię Curzona”. Jest rzeczą znamioną, że prezydent Roosevelt zwrócił się z prośbą do uczestników konferencji, by jej ustaleniom nadać cechy poufności, bowiem w trakcie zbliżających się wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych nie chciał utracić głosów polonii amerykańskiej. Obóz londyński z ustaleń konferencji w Teheranie nie wyciągnął żadnych wniosków. Zakładano, że trwając nadal przy założeniach polityki dwóch wrogów, w ramach wprowadzonej akcji „Burza”, która za wycofującymi się Niemcami, na wyzwolonych terenach miała ustanawiać organy władzy terenowej podporządkowane wyłącznie rządowi

londyńskiemu osiągnięciu zamierzony cel. Plan ten został przyjęty bez wstępnych uzgodnień ze stroną radziecką. Mimo ustaleń przyjętych w Teheranie, akcją „Burza” objęto również tereny położone na wschód od linii Curzona, co w konsekwencji doprowadziło do różnych konfliktów i tragicznych w skutkach wydarzeń.

Brytyjscy i amerykańscy politycy oraz wojskowi ustawicznie dawali do zrozumienia polskim politykom, że konieczne jest porozumienie z Rosjanami i ustalenie z nimi zasad współpracy polityczno-wojskowej. Apelowali także do strony polskiej o uznanie przyszłej wschodniej granicy Polski wg linii Curzona. Nasi politycy konsekwentnie jednak pozostawali przy swoich racjach, wysuwając czasem kuriozalne wnioski. Między innymi w dniu 5 października 1943 r. w czasie spotkania z ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii A. Edenem premier Stanisław Mikołajczyk oświadczył, że jest przeciwny zajęciu Polski przez Armię Czerwoną. Domagał się, aby obok wojsk sowieckich znalazły się na terytorium Polski oddziały zbrojne naszych sojuszników i przyjaciół anglosaskich, podkreślając jednocześnie, że jedynie polski rząd po powrocie z uchodźstwa w Londynie ma prawo administrowania uwolnionym krajem. Osiągnięciu tego celu miało służyć wprowadzenie akcji „Burza”. Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill poinformowany na początku 1944 r. o akcji „Burza” w Polsce zwrócił uwagę na fakt, że brak jest w niej uzgodnień na szczeblu operacyjnym ze sztabem radzieckim, a pomoc materialna dla tej akcji powinna być uzgodniona ze Stalinem. Uwaga ta była słuszna, bowiem trudno sobie wyobrazić sytuację, że w trakcie toczącej się wojny, w której uczestniczą miliony żołnierzy i podstawowe działania służą głównie potrzebom frontu, na jego zapleczu pozostaną uzbrojone jednostki wojskowe manifestujące swą wrogość w stosunku do prowadzących działania wojenne. Taką naiwnością dyskwalifikującą ośrodki dyspozycji politycznej i militarnej było oczekiwanie, że można doprowadzić do porozumienia nie prowadząc negocjacji, że można skłonić do świadczenia pomocy prezentując jednocześnie wrogie stanowisko w stosunku do dysponującego możliwościami pomocy.

W jaki sposób oceniali strategiczne działania obozu londyńskiego nasi alianci – świadczą o tym najlepiej przytoczone w publikacji prof. Jana Ciechanowskiego („Przegląd” Nr 30 z 2.08.2009) wypowiedzi prezydenta Stanów Zjednoczonych F.D. Roosevelta ujęte w jego piśmie z 26.02.1945 r. kierowanym do Stalina: „...*Mam nadzieję i nie muszę Pana zapewnić, że Stany Zjednoczone nigdy nie udzielą jakiegokolwiek poparcia żadnemu rządowi tymczasowemu w Polsce, który odnosiłby się wrogo do waszych interesów*”. Zapewniał jednocześnie marszałka Stalina, że zgadza się z nim całkowicie, iż Armia Czerwona posuwająca się na Berlin przez Polskę powinna mieć zapewnione bezpieczeństwo na swych

tyłach.

Pisał dalej: „...żaden rząd tymczasowy, który by przysparzał sojusznicznym siłom zbrojnym jakichkolwiek kłopotów na tyłach nie może być przez nas tolerowany. Chciałbym, żeby Pan wiedział, że o tym dobrze pamiętam”.

Jest sprawą oczywistą, że Zachodowi chodziło głównie o jak najlepsze stosunki z Moskwą a nie o sprawy Polski. Chodziło głównie o to, by w dalszym ciągu główny ciężar walki z Niemcami utrzymywał nadal Związek Radziecki. Przypomnieć tutaj należy, jaki był bilans wojny. Na dziesięciu niemieckich żołnierzy poległych w II wojnie światowej, siedmiu zginęło na froncie wschodnim.

Nasze siły polityczne trwały jednak w świecie iluzji i braku realizmu. Za podstawowy problem uznano stworzenie warunków pozwalających na objęcie władzy na wyzwolonych terenach Polski przez obóz londyński i podporządkowane mu ośrodki w tym Armię Krajową. Środkiem do osiągnięcia tego celu miało być wywołanie powstania w Warszawie przed zajęciem miasta przez siły radzieckie i powołanie tam do życia reprezentacji rządu londyńskiego, która jako jedyny uprawniony do sprawowania tej władzy organ przywitałaby wkraczające do Warszawy wojska radzieckie. Przeciwnym wybuchowi powstania był gen. W. Anders, krytyczny stosunek do tego zamiaru miał również gen. K. Sosnkowski, który jednak, jako Wódz Naczelny nie wydał jednoznacznego rozkazu zabraniającego siłom w kraju na podjęcie tej operacji. Za wywołaniem powstania optował premier Mikołajczyk bazując na naiwnym założeniu, że w czasie oczekującego go spotkania ze Stalinem będzie to atutem w prowadzonych przez niego rozmowach. Zarówno gen. W. Anders jak również gen. K. Sosnkowski zakładali, że na przestrzeni 3-5 lat nastąpi wybuch kolejnej wojny światowej między Związkiem Radzieckim a krajami zachodnimi. Przypuszczali oni, że wtedy zaistnieją warunki dla odzyskania niepodległości przez Polskę. Generałowie ci nie brali jednak pod uwagę faktu, że w tym czasie znana była już broń jądrowa i w przypadku wybuchu takiego światowego konfliktu zbrojnego Polska, jako kraj leżący na styku tych walczących stron mogłaby być przekształcona w kraj pustylny.

Po tragicznej śmierci gen. W. Sikorskiego w obozie londyńskim nastąpiły zmiany kadrowe i w związku z tym przewagę uzyskało grono zwolenników wywołania powstania w Warszawie. Z Londynu do kraju został przetrzucony gen. Leopold Okulicki gorący zwolennik wybuchu powstania bez względu na polityczne uwarunkowania zewnętrzne. Zastąpił on na stanowisku zastępcy Szefa Sztabu AK do spraw operacyjnych gen. Tatara zwolennika polityki prezentowanej przez gen. W. Sikorskiego.

Jak wspominał w swej publikacji prof. Jan Karski („Gazeta Wyborcza” z dnia 1.08.1997 r.)

powiadomieni o przygotowaniach do Powstania Warszawskiego, zarówno premier Churchill, minister Eden jak również sekretarz stanu USA Cordell Hull radzili naszemu rządowi na uchodźstwie by nie zaczynał jakichkolwiek działań wojennych bez porozumienia z Moskwą. Apele te nie spotkały się ze zrozumieniem, Rząd RP na uchodźstwie w dniu 26 lipca 1944 r., bez udziału naczelnego wodza gen. Sosnkowskiego, wyraził zgodę na wywołanie powstania w Warszawie. Upoważnił jednocześnie komendę Główną AK do ustalenia dnia rozpoczęcia walk w dogodnym według niej, momencie. Tak, więc podjęcie tej fundamentalnej decyzji pozostawiono w gestii trzech, jak wykazało to życie, nieodpowiedzialnych generałów Bora-Komorowskiego, Pełczyńskiego i Okulickiego.

Termin wybuchu powstania ustalono w pośpiechu, aby wyprzedzić spodziewane wejście wojsk radzieckich do Warszawy. Termin ten został wyznaczony mimo braku właściwego rozpoznania sytuacji na froncie wschodnim oraz braku jakichkolwiek prób operacyjnego skoordynowania walk powstańców z dowództwem wojsk radzieckich. Zupełny brak rozpoznania na froncie potwierdza fakt, że w dniu 21 lipca 1944 r. gen. Bór-Komorowski przekazał do Londynu wiadomość o załamaniu się oporu niemieckiego w rejonie frontu warszawskiego. Swoją wiedzę oparł na nieprawdziwej, jak się okazało, informacji przekazanej mu przez gen. Okulickiego.

Komenda Główna AK nie dostrzegала widocznie tego, czego świadkami była ludność Warszawy. Kilka dni przed wybuchem powstania przez Warszawę, w kierunku wschodnim przemieszczały się znaczne siły niemieckie w tym doborowa dywizja pancerna „Herman Göring”.

Przygotowujący wybuch powstania nie przywiązywali większej wagi do stanu uzbrojenia sił powstańczych. A było ono, jak przedstawił to w swych publikacjach gen. Jerzy Kirchmayer, członek Komendy Głównej AK rozpaczliwe.

Według stanu na 1 sierpnia 1944 r. składało się z następujących rodzajów broni:

2629	karabinów zwykłych
657	pistoletów maszynowych
145	ręcznych karabinów maszynowych
29	karabinów przeciwpancernych i piatów
3846	pistoletów
43971	granatów ręcznych

Pozwalało to w momencie wybuchu powstania na uzbrojenie 4-6% powstańców.

Organizatorzy Powstania swoje pragnienia traktowali jako rzeczywistość. Zakładali oni:

– kiedy wojska radzieckie powinny wejść do Warszawy – mimo, że w tej sprawie nie

dokonano żadnych uzgodnień,

- przyjęli jako ważny warunek powodzenia Powstania zrzućenie do Warszawy Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego stacjonującej w Anglii,
- zbombardowanie lotnisk w rejonie Warszawy.

Krajowi twórcy tych pomysłów byli chyba pozbawieni wyobraźni i elementarnej wiedzy wojskowej. Te postulaty nie poprzedzone wcześniejszymi uzgodnieniami nie mogły być poza tym zrealizowane ze względów zasadniczych. Trudno bowiem wyobrazić sobie jak miałyby wyglądać lądowanie skoczków spadochronowych na dachach budynków i innych obiektów infrastruktury miasta. Bombardowanie lotnisk w rejonie Warszawy wymagałoby przelotu samolotów na znaczną odległość przez tereny zajmowane przez Niemców, wyposażone w systemy obrony przeciwlotniczej i związane z tym przewidywane straty sprzętu i załóg lotniczych. Te żądania ze strony Komendy Głównej AK spotkały się z odmową aliantów.

W dniu 1 sierpnia 1944 r. o godzinie 17⁰⁰ rozpoczęło się Powstanie Warszawskie. Kilka dni później w dniu 3 sierpnia, oraz w dniu 9 sierpnia odbyły się rozmowy premiera Mikołajczyka z Józefem Stalinem. Rozmowy te nie dały oczekiwanych przez stronę polską wyników. Stalin ponownie żądał wyrażenia zgody na uznanie linii Curzona jako wschodniej granicy Polski, domagał się fuzji rządu londyńskiego z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego i podporządkowania AK armii Żymirskiego i Berlinga. Premier Mikołajczyk nie wyraził zgody na te propozycje. Po tych spotkaniach doszło do rozmowy premiera Mikołajczyka z premierem Churchillem. Przebieg tej rozmowy przedstawił w swej książce Laurence Rees („Za zamkniętymi drzwiami. Kulisy II wojny światowej” wyd. 2008). Napisał on, że Churchill natarł na Mikołajczyka mówiąc: *„Jesteście bezczelnymi ludźmi, którzy chcą rozwalić Europę! Nie jesteście żadnym rządem. Jesteście warchołami, którzy chcą zburzyć Europę. Odwołam się do innych Polaków. Pańskie argumenty to zbrodniczy pomysł wywołania rozłamu między sojusznikami, za pomocą waszego liberum veto. Mam wrażenie, że jestem w domu obłąkanych. Nie zamierzamy zniszczyć pokoju w Europie z powodu kłótni między Polakami. Z powodu swej zawziętości nie widzicie o co toczy się gra. Nie rozstaniemy się w przyjaźni. Będziemy musieli powiedzieć światu jacy jesteście nierozsądni”*.

Wypowiedź ta świadczy dobitnie o tym jak oceniana była działalność naszego rządu na uchodźstwie. Jak powszechnie wiadomo Powstanie trwało do 2.10.1944 r. kiedy to gen. Bór-Komorowski podpisał akt kapitulacji.

Po latach można stwierdzić, jaki był tragiczny bilans tego wydarzenia. Powstanie Warszawskie było wielką klęską militarną bo ani o jeden dzień nie skróciło okupacji niemieckiej. Według różnych szacunków poniosło w nim śmierć około 200-220 tys. Polaków

w tym kwiat patriotycznej młodzieży. Zginęło około 18 tys. powstańców, 2060 żołnierzy 1 Armii Wojska Polskiego, a około 20 tys. powstańców zostało rannych. Do niewoli dostało się około 16 tys. powstańców. Całkowitemu lub częściowemu zniszczeniu uległy obiekty publiczne, mieszkalne oraz infrastruktura miasta wodociągi, elektrownie, gazownie, mosty i trasy komunikacyjne a ponadto zabytki i dobra kultury, biblioteki muzea i archiwa. Zniszczonych zostało dziesiątki i tysiące dzieł sztuki i pamiątek historycznych. Kilkaset tysięcy ludzi straciło dorobek swego życia i zostało skazanych na poniewierkę, bądź zesłanych do obozów koncentracyjnych lub obozów pracy przymusowej. Ponadto Powstanie Warszawskie oraz nie pójście na jakikolwiek kompromis ze strony rządu RP na uchodźstwie ułatwiło Stalinowi, bez oporu ze strony naszych zachodnich sojuszników, na narzucenie Polsce jego woli. Dziwić musi obsesyjna wręcz niechęć gen. Bora-Komorowskiego do armii radzieckiej i walczących u jej boku jednostek wojska polskiego. Potwierdza to jego reakcja na pismo gen. „Montera” z 10 września 1944 r. Gen. „Monter” napisał w nim, między innymi: *„Proponuję wezwać Żymirskiego na odsiecz i przyrzec mu lojalną współpracę. Zmieniają się warunki naszej walki – będziemy więcej elastyczni. Każdy, kto da nam pomoc – zasłuży na wdzięczność. Wszystko inne jakoś się ułoży”*.

Odpowiedź gen. Komorowskiego na to pismo była jednoznaczna: *„Zwracanie się do Żymirskiego jest moim zdaniem zdradą”*. Podobne stanowisko zajął gen. Bór-Komorowski w przypadku uzgodnionego planu ewakuacji na praski brzeg Wisły żołnierzy „Żywiciela” z Żoliborza. Zamiast wyrażonej woli dalszej walki w szeregach Wojska Polskiego sprzymierzonego z Armią Radziecką, gen. Bór-Komorowski kategorycznie sprzeciwił się temu zamiarowi i zmusił ich do oddania się w niewolę niemiecką. Rozkaz generała w tej sprawie został przekazany przez delegowanego w tym celu płk „Wachnowskiego”.

Ocena sensu Powstania Warszawskiego jest bardzo różna. Generał Władysław Anders uważał to powstanie za kardynalny błąd z politycznego i wojskowego punktu widzenia, a z moralnego za zbrodnię. oceniał on, że wywołanie powstania było nie tylko głupotą ale ewidentną zbrodnią. Uznał on, że biorący udział w powstaniu zasługują na najwyższe słowa uznania i szacunku, zaś ci którzy to powstanie wywołali winni stanąć przed sądem wojennym.

Niektóre jednak kręgi uważały, że gen. „Bór”-Komorowski za swe dokonania winien być uznany za wybitnego patriotę i prawie bohatera narodowego. W związku z tym w 1945 r., a więc już po upadku Powstania Warszawskiego, do kapituły Orderu Virtuti Militare wpłynął wniosek o nadanie mu tego zaszczytnego odznaczenia. Kapituła ta działała pod przewodnictwem gen. Lucjana Żeligowskiego – znanego bojownika o niepodległość Polski. Gen. Żeligowski na znak protestu przeciw nadaniu gen „Borowi”-Komorowskiemu tego

odznaczenia złożył rezygnację z funkcji przewodniczącego kapituły. W uzasadnieniu swej decyzji obciążył „Bora”-Komorowskiego odpowiedzialnością za tragiczny przebieg i katastrofę Powstania Warszawskiego i podjęcie walki w Warszawie bez skoordynowania jej z Armią Radziecką. Zdaniem gen. Żeligowskiego fakty te nie tylko przekreślały możliwość nadania odznaczenia, ale uzasadniały wprost pociągnięcie go do odpowiedzialności.

Powstanie przeżyłem na Starym Mieście przebywając głównie w piwnicach domu przy ul. Podwale 11. Nie uczestniczyłem w nim czynnie. Podobnie jednak jak znaczna ilość mieszkańców brałem udział w pracach potrzeba, których wynikała z zaistniałej sytuacji. Uczestniczyłem, między innymi, w budowie solidnej barykady na ul. Podwale u wylotu ul. Kapitulnej. Zabezpieczałem workami z piaskiem wloty do okienek piwnicznych. Uczestniczyłem także w wykonywaniu przejść komunikacyjnych między piwnicami sąsiadujących budynków. Szczególnie utkwiło mi w pamięci wydarzenie, które miało miejsce w dniu 13 sierpnia 1944 r. W dniu tym mały „zdobyczny” czołg niemiecki (Mark I), który okazał się być pułapką, był prowadzony w głąb Starego Miasta od Placu Zamkowego ulicą Podwale. W związku z tym zaszła potrzeba częściowego rozebrania wykonanej wcześniej barykady celem umożliwienia mu przejazdu. Uczestniczyłem w tej pracy a następnie w czasie gdy czołg pojechał dalej ul. Podwale w kierunku ul. Kilińskiego, stosownie do apelu, że barykadę trzeba odbudować uczestniczyłem w tych pracach. Decyzję tą zawdzięczam chyba Opaczności Bożej, bo gdybym wzorem innych towarzyszył temu czołgowi w jego dalszej drodze – znajdowałbym się prawdopodobnie w gronie kilkuset ofiar wybuchu tego czołgu-pułapki.

Miesięcznemu pobytowi w pomieszczeniach piwnicznych towarzyszył ciągły, całodobowy ostrzał obiektów Starego Miasta z dział, moździerzy i granatników. Szczególnie tragiczne skutki wywoływały pociski najcięższej broni niemieckiej użytej w powstaniu – moździerz 600 mm „Karl Mörser”. Oprócz tego kilkakrotnie w ciągu każdego dnia Stare Miasto było bombardowane przez samoloty. Jeżeli dodać do tego występujące braki żywności, wody i niemożność utrzymywania elementarnych zasad higieny osobistej – można sobie wyobrazić, jaką gehennę przeżywała cywilna ludność Warszawy.

Postawa ludności cywilnej w pierwszych dniach powstania była godna podziwu i nacechowana entuzjazmem. Społeczność stolicy, pamiętając o przeżytych latach okupacji niemieckiej z radością przyjmowała fakt uwolnienia się od lat przemocy i poniżenia. Jednak duchowa jedność, jaka istniała między powstańcami a ludnością w pierwszych dniach –

zaczęła gwałtownie zanikać w miarę jak uświadamiano sobie, że przy wywołaniu powstania kierowano się przesłankami politycznymi a nie realistycznymi. Do świadomości ludzi zaczęło docierać, że zapoczątkowanie powstania nie zostało poprzedzone uzgodnieniami ze stroną radziecką. Spowodowało to stopniową zmianę nastrojów ludności i występowanie zjawiska niechęci a nawet wrogości w stosunku do sił powstańczych. Pretensje te kierowano niesłusznie do żołnierzy powstania. Oni bowiem nie uczestniczyli w podjęciu decyzji o wywołaniu powstania, oni w nim jako patrioci uczestniczyli.

W dniu 2 września 1944 r. Stare Miasto zostało zajęte przez siły niemieckie. O świcie tego dnia, przy barykadzie na ul. Podwale u wylotu ul. Kapitulnej, była jeszcze grupa licząca 3 powstańców posiadająca karabin maszynowy. Ruiny budynków znajdujące na przestrzeni między ul. Podwale i ul. Ślepą były objęte ogniskami pożarowymi. Po pewnym czasie dało się słyszeć głosy nawołujące po niemiecku do opuszczania piwnic. Okazało się, że byli to esesmani z brygady Dirlewangera. Wychodzących z pod zburzonych domów ludzi kierowano w stronę Placu Zamkowego. Przejście ul. Podwale odbywało się po stertach gruzów, jakimi pokryta była ulica. Oszołomieniu i oślepieniu blaskami słońca towarzyszyło poczucie niepewności co do dalszych losów wypędzanych. Esesmani szarpali, popychali a nawet okładali kolbami maszerujących, a także rewidowali i rabowali wszystko co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Esesmani nie ukrywali swego zaskoczenia faktem, że z pod gruzów totalnie zniszczonego miasta wyszła, ich zdaniem, tak znaczna ilość żyjących jeszcze ludzi.

Zdaniem moim wpływ na to mogły mieć następujące okoliczności. Do bombardowania miasta Niemcy używali samolotów bombowych Ju-87 „Stukas”. Były to samoloty rzucające bomby z lotu nurkowego i w związku z tym uzyskiwały dużą siłę rażenia. W trakcie powstania, wobec braku jakichkolwiek środków obrony przeciwlotniczej, samoloty niemieckie mogły bezkarnie latać nad miastem na niewielkiej wysokości w związku z tym bomby wyposażone były w zapalniki opóźniające. Zrzucone bez poprzedzającego manewru pełnego lotu nurkowego miały mniejszą siłę przebicia i z reguły zatrzymywały się w górnych partiach bombardowanych obiektów i eksplodując tam dawały większą szansę stabilności stropów piwnicznych.

Byłem uczestnikiem takiego wydarzenia gdy bomba trafiła w budynek przy ul. Podwale 11. Wraz z innymi mieszkańcami znajdowałem się w tym czasie w piwnicy tego budynku. Wybuch bomby spowodował całkowite zniszczenie budynku jednak sklepienia piwnic nie uległy uszkodzeniu. Powstałe gruzowisko całkowicie zasypało wejście do piwnicy. Znajdujący się pod gruzami ludzie mogli się ewakuować wykonanymi wcześniej przejściami

do piwnic sąsiednich budynków.

Ludność opuszczająca Stare Miasto kierowana była przez Plac Zamkowy, Mariensztatem na Powiśle, a następnie przez Ogród Saski na Wolę w rejon kościoła św. Wojciecha. Tam młodzi esesmani dokonywali ciągłych rewizji i rabowania biżuterii i innych wartościowych przedmiotów. Po krótkim postoju skierowano nas na dworzec zachodni, załadowano do odkrytych wagonów towarowych i przewieziono do obozu w Pruszkowie (tzw. Durchgangslager 121) utworzonego przez Niemców w pierwszych dniach sierpnia 1944 r. W ciągu dwóch i pół miesiąca przez obóz ten przeszło (wg różnych źródeł) 550-650 tys. mieszkańców Warszawy. Dla ludzi tych pobyt w obozie pruszkowskim stanowił epilog powstańczej gehenny, ale jednocześnie początek dalszych upokorzeń i represji. Z obozu tego codziennie odjeżdżały na zachód pociągi transportujące ludzi do obozów koncentracyjnych bądź obozów przymusowej pracy. Szacuje się, że z ogólnej ilości ludzi, którzy przeszli przez obóz pruszkowski około 165 tys. osób wywieziono na roboty przymusowe do rzeszy, a około 50 tys. wysłano do obozów koncentracyjnych. Obok ponad 200 tys. osób które straciły życie w czasie powstania i obrócenia w perzynę Warszawy – składa się to na ogólny bilans skutków wywołanych Powstaniem Warszawskim.

W Warszawie znajduje się Muzeum Powstania Warszawskiego. Młodemu pokoleniu przekazuje się wiedzę o autentycznym bohaterstwie i patriotyzmie powstańców warszawskich. Jest to działanie zasługujące na pełną aprobatę. Jednak w przekazie kierowanym do młodych Polaków brak jest elementu przestrogi i przypomnienia jak nieodpowiedzialna i oderwana od realiów życia decyzja może kończyć się tragicznymi skutkami wywołanymi wybuchem Powstania Warszawskiego. Ludwik Stromma w swej publikacji (Polityka Nr 31 z 5.08.2006 r.) wyraził w tej kwestii następujące zdanie:

„Powstanie Warszawskie było szaleństwem politycznym i militarnym, które skończyło się żałościwie, osłabiło, a nie wzmocniło morale narodu, spustoszyło wielkie miasto. Pamięć o nim może być tylko przestroga, nie legendą”.

Moja droga do Niemiec

W czasie parodniowego pobytu w obozie pruszkowskim zachorowałem na biegunkę z temperaturą do 39⁰C. Ta temperatura i totalne odwodnienie spowodowały, że z trudem utrzymywałem się na nogach. W takim stanie razem z bratem i rodzicami zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych wraz z grupą liczącą około 2 tysięcy ludzi.

Transport ten, po wielogodzinnej jeździe dotarł do miejscowości Gross-Rosen w której znajdował się jeden z większych hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Na peronie przejęły nas zastępy esesmanów, z których większość miała przy sobie psy. Ze stacji pędzono nas przez wioskę do obozu.

Idący w kolumnie ludzie prosili cywilnych Niemców o wodę. Niektórzy z nich wystawiali na drogę naczynia z wodą. Esesmani nas konwojujący kopniakami przewracali te naczynia.

Po wejściu na teren obozu zgromadzono nas na placu apelowym i przystąpiono do selekcji. Obóz w Gross-Rosen był obozem męskim, tymczasem w transporcie przysłano do obozu również kobiety oraz dzieci w różnym wieku. W pierwszej fazie selekcji polecono by z grupy wystąpili mężczyźni od 16 lat. W tym gronie znalazł się mój ojciec i starszy brat. Ja, mimo że w maju 1944 roku ukończyłem 16 lat – pozostałem z matką.

Rozdzielaniu rodzin towarzyszyły wstrząsające sceny. Mężczyźni mając świadomość, że zostaną w obozie chcieli swym bliskim przekazać posiadane przy sobie pieniądze, biżuterię i inne wartościowe przedmioty. Powstało duże zamieszanie, w którym esesmani bijąc kolbami ludzi grabili jednocześnie przekazywane kosztowności. Oddzieleni od naszej grupy mężczyźni, przed rejestracją musieli rozebrać się do naga. Zadziałała tutaj w całej rozciągłości perfidia niemiecka. Rozbierający się byli zobowiązani do segregowania swojej odzieży. Na osobne stosy musieli składać nakrycia głowy, płaszcze, kurtki, ubrania, koszule, skarpetki, bieliznę i obuwie. Przy rejestracji zabierano im dokumenty, pieniądze i kosztowności, otrzymywali natomiast numery obozowe. Po wygoleniu i przepędzeniu przez pomieszczenia, które nazywano łaźnią, otrzymywali obozowe pasiaki, a ponieważ ich brakowało, część więźniów otrzymywała stare ubrania z naniesionymi na plecach olejną czerwoną farbą krzyżami i lampasami na spodniach.

W kolejnej fazie kazano występować z grupy samotnym kobietom, załadowano je na samochody i wywieziono z obozu. Prawdopodobnie zostały one przewiezione do żeńskiego obozu koncentracyjnego w Rawensbrück. Pozostałą grupę tzw. matek z dziećmi ulokowano w wydzielonym na terenie obozu baraku.

Wiek dzieci w tej grupie był bardzo zróżnicowany – od niemowląt do szesnastego roku życia.

Ponieważ wiele osób było rannych, względnie chorych, wieczorem skierowali do nich Niemcy lekarza obozowego z pomocnikiem. Byli to więźniowie ubrani w pasiaki. Przybyły lekarz wyposażony był w dwa lekarstwa. W jednej kieszeni miał w pudełku pastylki węgla aktywowanego, w drugiej zaś stosowany ówczasem lek o nazwie Prontosil, który miał działanie odkażające szczególnie przy infekcjach gardła i dróg oddechowych. Z uwagi na moja biegunkę dostałem kilka tabletek węgla aktywowanego, co nieco złagodziło objawy mojej dolegliwości.

Po latach, przy okazji pogrzebu wybitnego i powszechnie uznanego autorytetu medycyny na Śląsku, pana prof. Kornela Gibińskiego – który niedawno odbył się w Katowicach, dowiedziałem się z jego życiorysu, że był on jako więzień lekarzem obozowym w Gross-Rosen. Prawdopodobnie to on udzielał mi pomocy w tym obozie.

Po nocy spędzonej w obozowym baraku ustawiono przed nim długi stół, za którym przy maszynach do pisania siedzieli więźniowie. Główną rolę w tym zespole odgrywał KAPO – jak się okazało Ukrainiec. Przy końcu stołu siedział znudzony esesman. Przystąpiono do rejestracji danych osobowych naszej grupy. Należało, między innymi, podać datę urodzenia. Świadomy tego, że znajduję się w grupie dzieci, które nie mają 16 lat, podałem nie faktyczną datę 11.05.1928 tylko 11.10.1928 r. KAPO zażądał ode mnie pokazania dokumentów. Powiedziałem, że ich nie mam bo straciłem je w czasie powstania. W odpowiedzi na to KAPO kazał mi odejść na bok i oświadczył, że pójdę do obozu. W pewnym momencie na ten teren wkroczyła kilkusobowa grupa esesmanów, jak się okazało z komendantem obozu na czele. Był to stosunkowo młody, wysoki blondyn. Mieli na rękach rękawiczki i trzymali w nich szpicruty. Zgodnie z regulaminem obozowym, więźniowie siedzący przy stole zdjęli berety z głowy i stanęli na baczność. Na ten widok również kobiety i dzieci, znajdujące się po przejściach obozowych w stanie szoku, również wstały z ziemi. Jediną osobą, która nie wstała byłem ja. Skrajnie osłabiony wielodniową wysoką temperaturą i kompletnie odwodniony miałem trudności w dłuższym staniu na nogach. Komendant obozu wyraźnie zadowolony z reakcji, jaką wywołał, spojrzawszy na mnie, siedzącego na ziemi położył mi szpicrutę pod brodę i wrzasnął „auf”. Gdy wstałem KAPO zaczął mówić, że nie mam dokumentów i zostałem odstawiony by wrócić do obozu. Komendant zwracając się do mnie zapytał „*wo ist deine Familie?*” Odpowiedziałem po niemiecku „*mein Vater und mein Bruder sind im Lager. Mutter stand mit die Gruppe*“. Nie wiadomo czy komendant był zadowolony, że odpowiedziałem mu po niemiecku, czy był pod wrażeniem reakcji okazanej na jego widok przez kobiety i dzieci które, wstały z ziemi, bo mimo że KAPO cały czas mówił do niego, uzasadniając swoją decyzję – machnął ręką i powiedział „*Quatsch!*”

(bzdura - nonsens). W ten sposób mogłem ponownie wrócić do matki i opuścić w konsekwencji obóz koncentracyjny. Od tego czasu, we wszystkich dokumentach niemieckich mam wpisaną datę urodzenia, którą podałem przy tej rejestracji: tj. 11.10.1928 r.

Po dokonanej rejestracji nasza grupa została przetransportowana na dworzec, załadowana do wagonów kolejowych i przewieziona do obozu przejściowego, który znajdował się na obrzeżu Wrocławia, w ówczesnej dzielnicy Breslau-Burgweide. Funkcje kierownicze pełnili tam umundurowani funkcjonariusze niemieccy, natomiast niższy rangą personel obozowy stanowili cywile – (Ukraińcy) noszący na rękawach opaski. W obozie tym znajdował się punkt sanitarny, którym kierowała ukraińska sanitariuszka. Z uwagi na męczącą mnie nadal biegunkę i towarzyszącą temu temperaturę, zgłosiłem się w tym punkcie po poradę. Sanitariuszka zastosowała u mnie drakońską kurację. Podała mi małą filiżankę gorzkiej soli (normalnie podaje się jedną łyżkę) i odsypała ze słoika 4 porcje jakiegoś proszku, które miałem brać co godzinę po reakcji wywołanej użyciem gorzkiej soli. Reakcja przekroczyła wszelkie oczekiwania, dała jednak wyraźny efekt.

Z obozu tego, po kilkudniowym pobycie przetransportowano nas do kolejnego, bardzo dużego obozu w Erfurcie, w którym przebywała znaczna ilość ludzi różnych narodowości. Wszyscy przywożeni do tego obozu poddawani byli zabiegom dezynfekcyjnym. Po otrzymaniu porcji szarego mydła trzeba było się wykąpać pod prysznicem, niestety z zimną wodą. W przypadku stwierdzenia śladów insektów we włosach, mężczyznom golono głowy do zera, niewiastom zaś polewano głowy jakimś gryzącym płynem, który spływając po skroniach względnie po czole pozostawiał ślady takie jak po poparzeniach. Odzież lokowana była w komorach parowych i poddawana działaniu wysokiej temperatury. Po tych zabiegach uznano, że jesteśmy odpowiednio przygotowani do przetargów na siłę roboczą. Do obozu przyjeżdżali przedstawiciele fabryk oraz gospodarstw rolnych dla uzyskania odpowiedniej ilości robotników.

Liczącą około 300 osób grupę, w której się znalazłem wraz z matką, przeznaczono do fabryki amunicji w miejscowości Schleusingen w Turyngii (oficjalna nazwa „Zieh und Stanzwerk”) przy której znajdowały się dwa zamknięte obozy – męski i żeński. W zakładzie tym pracowało kilka tysięcy ludzi pochodzących z różnych krajów Europy. Przedmiotem produkcji była amunicja do karabinów oraz pistoletów. Przy wyładowywaniu nas z wagonów na rampie kolejowej przy boczniczy fabrycznej – pracownice administracyjne fabryki dokonywały spisu przybyłych osób. Gdy podałem swoje imię Jerzy, rejestrująca powtórzyła Georg, na co ja zareagowałem mówiąc ponownie Jerzy. Po rampie spacerował mężczyzna w wieku około 60 lat, bardzo elegancko ubrany, z godłem niemieckim w klapie i słysząc moją

rozmowę, zatrzymał się i powiedział nienaganną polszczyzną: „*Sluchaj, jezeli chcesz być Polakiem to czy powiesz Jerzy czy Georg to jest wszystko jedno*”. następnie zwrócił się do urzędniczki mówiąc po niemiecku: „*Bitte, schreiben sie Georg*”. Okazało się, że był to wicedyrektor fabryki do spraw cudzoziemców o nietypowym jak na Niemca nazwisku Diamandi. Chodził zawsze z laską z uwagi na posiadaną protezę nogi. Była to dość dziwna postać. Był poliglotą, władał bardzo płynnie kilkoma językami, w tym również polskim i węgierskim. Miał wyraźne skłonności sadystyczne, które ujawniał bijąc laską za najdrobniejsze przewinienia.

W naszej grupie dowiezionej do Schleusingen z obozu w Erfurcie większość stanowiły kobiety głównie z małymi dziećmi. Zostały one umieszczone w obozie żeńskim. Ja wraz z moimi rówieśnikami znaleźliśmy się w obozie męskim. Był to duży obóz. Składał się z baraków podzielonych na tzw. Stuby (izby). W każdej z nich znajdowało się 7 trzypiętrowych prycz czyli 21 miejsc noclegowych. Każda prycza miała siennik oraz tzw. poduszkę wypełnioną słomą i dwa koce o konsystencji ścierki do podłogi. Pomieszczenia nie były ogrzewane z powodu braku opału chociaż były wyposażone w żelazne piecyki. Plagą było zatręśnienie pluskiew. Aby uniknąć śladów po ich ukąszeniu w widocznych miejscach w okolicy głowy czy nadgarstkach, trzeba było spać z koszulą założoną na głowę i skarpetkami naciągniętymi na ręce.

Wraz z trójką moich rówieśników, a byli to Jurek Jerzycki, Rysiek Gruca i Gienek Żebrowski zostaliśmy dokwaterowani do izby w której mieszkali specyficzni Rosjanie. Byli to wyłącznie ludzie starsi, mający powyżej 70 lat, z długimi włosami i brodami, o zerowym poziomie higieny osobistej. Zachowywali się jak półdzicy ludzie. W naszej obecności przerywali wszelkie rozmowy i bacznie nas obserwowali. Ponieważ byli jednocześnie potwornie zawszeni, a część swoich ubiorów kładli często na naszych pryczach- dochodziło między nami do konfliktów. Po licznych interwencjach przeniesiono nas do innego pomieszczenia, które dzieliliśmy z Białorusinami, Jugosłowianami i Czechosłowakami.

W fabryce, po krótkim przeszkoleniu, zatrudniono nas przy konserwacji maszyn produkcyjnych, które obsługiwały kobiety-więźniarki. Praca odbywała się w układzie dwuzmianowym – po 12 godzin dziennie. Pracowało się przez 7 dni w tygodniu. Ponieważ obóz był zamknięty i pilnowany przez strażników, jego ewentualne opuszczanie wymagało uzyskania przepustki. Do pracy i z pracy byliśmy prowadzeni w kolumnie i pilnowani przez uzbrojonych strażników. Tygodniowe racje żywnościowe wynosiły 1,2 kg chleba, 10 dkg margaryny i 10 dkg cukru. Ponadto raz dziennie otrzymywaliśmy w fabryce ciepły posiłek w postaci zupy z brukwi z ziemniakami, a w niedziele po 3 gotowane w łupinkach ziemniaki

i wielkości pudełka od zapalek kawałek mielonego mięsa.

W roku 1945 zaczęły występować trudności w dostawach materiałów do produkcji co powodowało okresowe postoje zakładu. Wówczas angażowano nas do innych prac, głównie leśnych. Mimo zimy i śniegu musieliśmy znosić z górnych partii gór kawałki pni ściętych wcześniej drzew. W czasie tych prac nabawiłem się zapalenia ucha środkowego. Wysoki ból temu towarzyszący i wysoka temperatura nie stanowiły przeszkody w wykonywaniu pracy. Gdy zgłosiłem się do punktu sanitarnego z prośbą o olejek kamforowy nie dość, że go nie otrzymałem, ale zostałem przez niemieckiego sanitariusza zwymyślany i okrzyczany jako symulant i leń. Po kilku dniach, gdy ropień w uchu uległ perforacji i z ucha zaczęła wyciekać mi ropa, ponownie zgłosiłem się do punktu sanitarnego by otrzymać trochę ligniny i bandaży. Tym razem pod naciskiem zatrudnionych w punkcie sanitarnym włoskich lekarzy, byłych wojskowych, niemiecki sanitariusz wyraził zgodę na wydanie mi skierowania do laryngologa. Ponieważ w miasteczku Schleusingen takiego specjalisty nie było, ze skierowaniem tym musiałem pojechać do sąsiedniego miasta Suhl. Podróż odbywała się pociągiem. Ponieważ miałem przypiętą literę „P”, niemieccy pasażerowie pociągu nie pozwolili zająć mi miejsca w przedziałach – musiałem stać na korytarzu. Po przyjeździe do Suhl odszukałem gabinet laryngologa. Był to dr Steinmetz. Przyjmował pacjentów w swym gabinecie, który znajdował się w jego willi. Od przodu budynku wchodziło się do poczekalni i gabinetu – tył obiektu stanowił część mieszkalną. Obowiązywał tam zwyczaj, że pacjenci wchodzący do poczekalni wpisywali się do wyłożonej książki i według kolejności wpisu pielęgniarka wywoływała kolejnych pacjentów. Gdy podszedłem do wyłożonej książki, obecni w poczekalni pacjenci niemieccy podnieśli krzyk i zaczęli mi wymyślać od bezczelnych Polaków. Uważali, że mam czekać i zostać przyjęty przez lekarza na końcu, po obsłużeniu pacjentów niemieckich. Wypadało mi zająć miejsce na krześle i czekać na swoją kolejkę. Po pewnym czasie włączyły się w mieście syreny i ogłoszono alarm lotniczy. Pielęgniarka wyszła z gabinetu i oświadczyła, że pan doktor nie będzie już przyjmował pacjentów i wezwała obecnych by opuścili poczekalnię i udali się do znajdującego się opodal schronu przeciwlotniczego. W czasie gdy pacjenci w popłochu opuszczali poczekalnię, ja starałem dostać się do gabinetu doktora w celu uzyskania potwierdzenia wizyty na przepustce jaką mi wystawiono w fabryce. Dostępu do gabinetu broniła pielęgniarka. Lekarz myjący ręce nad umywalką dostrzegł mnie, polecił pielęgniarce by udała się do schronu, a mnie wziął do gabinetu. Gdy poprosiłem o potwierdzenie wizyty na przepustce, kazał mi usiąść na fotelu, obejrzał i przepłukał mi uszy i zapytał dlaczego przychodzę do laryngologa dopiero teraz. Stwierdził, że tak późna wizyta mogła doprowadzić do poważnych zaburzeń słuchu. Wy tłumaczyłem, że dopiero teraz dano

mi skierowanie do lekarza. Doktor przystąpił do wypisywania recepty, lecz ją odłożył podszedł do szafki, wyjął dwa opakowania kropli do zakraplania uszu i wyjaśnił mi jak należy je używać. Następnie przystąpił do pisania listu, który polecił mi doręczyć po powrocie do fabryki kierownikowi punktu sanitarnego. W drodze powrotnej przeczytałem ten list. Pisał on, że jako lekarz wyraża swój sprzeciw przeciw takiemu traktowaniu ludzi potrzebujących pomocy medycznej. Listu tego nie doręczyłem bo nie dało by to żadnego efektu a mnie naraziło na kolejną awanturę i podejrzenie, że list ten powstał na skutek mojej skargi.

Przykład zachowania dr Steinmetza jest potwierdzeniem faktu, że nawet w atmosferze amoku nacjonalistycznego jaki ogarnął wówczas społeczeństwo niemieckie, mogły mieć miejsce przypadki normalnych, ludzkich odruchów.

Wyzwolenie

Na przełomie marca i kwietnia 1945 roku, gdy zaczęły dochodzić z zachodu odgłosy zbliżającego się frontu, w kierownictwie fabryki dało się zaobserwować oznaki nerwowości. W naszych Arbeitsbuchach wpisano nam datę zakończenia okresu zatrudnienia w fabryce 31.03.1945 r. Po paru dniach wypędzono nas z obozu, uformowano kolumnę i kazano maszerować w kierunku wschodnim. Zaznaczono, że kto będzie się wyłamywać z tej grupy zostanie zastrzelony. Początkowo eskortowali nas strażnicy obozowi, ale po krótkim czasie zniknęli. Maszerująca kolumna zaczęła się dzielić na mniejsze grupy nawet kilkunastoosobowe. Spotkałem wtedy moją matkę, szła w towarzystwie dwóch Polek mających małe dzieci. Jedna z nich miała dwuletniego synka, druga kilkumiesięczne dziecko urodzone już po wywiezieniu jej do Niemiec. Ja szedłem w towarzystwie mojego kolegi Gienka Żebrowskiego. Od tej chwili maszerowaliśmy wspólnie mijając po drodze kolejne wioski. Było bardzo zimno. W mijanych wioskach spotykaliśmy grupy tzw. Volkssturmu, które stanowili piętnastoletni młodzieńcy, względnie ponad siedemdziesięcioletni mężczyźni uzbrojeni w karabiny. Ponieważ hitlerowska propaganda rozpowszechniała informacje, że z chwilą wejścia wojsk alianckich, obcokrajowcy zatrudnieni w Niemczech dokonują rabunków względnie, w ramach zemsty, mordują ludność niemiecką – nie pozwalali nam się zatrzymywać, dawali wodę a nawet mleko dla dzieci i kazali maszerować dalej. Szliśmy tak przez trzy dni spędzając noce pod dachami mijanych budynków gospodarczych. Tamten rejon Turynгии przypomina budowę Beskidy. Gdy na skutek deszczu zatrzymaliśmy się pod przydrożnymi drzewami, poszedłem w górę lasu i tam na napotkanej polanie znalazłem obiekt stanowiący schronisko dla myśliwych i znajdującą się obok strzelnicę dla ćwiczących

strzelanie. Był to kwadratowy domek ze szpiczastym dachem. Po sforsowaniu zamka weszliśmy do środka tego obiektu. Znajdował się w nim żelazny piecyk, stół, krzesła i dwie ławy z których myśliwi, leżąc na nich, mogli przez dwa otwory znajdujące się z jednej strony budynku strzelać do znajdującej się opodal tarczy. Był także duży zapas drewna opałowego. W piecyku paliliśmy tylko w nocy, aby nie widać było dymu. Do jedzenia mieliśmy tylko ziemniaki kradzione ze spotkanych po drodze kopców ziemniaczanych.

Po upływie trzech dni wzmożło się nasilenie odgłosów strzelaniny z różnych rodzajów broni dochodzące z otaczających nas lasów. Obserwując otoczenie miejsca naszego schronienia zauważyliśmy, że w odległości około 20 metrów od domu leży na ziemi trzech żołnierzy niemieckich obserwujących teren przez lornetkę. Żołnierze ci mieli na czapkach znaki szarotki co świadczyło o przynależności ich do formacji górskich. Obawialiśmy się by płacz jednego z dzieci nie zdradził naszej obecności. Po chwili jednak żołnierze ci zniknęli. Po około godzinie, obserwując teren, zauważyliśmy, że w kierunku naszego domku zbliża się skokami liczna grupa żołnierzy z siatkami na hełmach. Widząc to, jedna z kobiet podeszła do drzwi i otworzyła je. Za nimi stał żołnierz z karabinem gotowym do strzału. Odsunął kobietę, zajrzał do środka pomieszczenia i kiwając ręką do pozostałych żołnierzy wypowiedział słowo *okay*. Była to grupa licząca około stu żołnierzy amerykańskich a ten który wypowiedział to radosne dla nas słowo okazał się być podoficerem – Amerykaninem polskiego pochodzenia, mówiącym łamaną polszczyzną. Powiedział, że jego rodzice pochodzili z Łodzi. Zapytał się nas czemu nie wywiesiliśmy białej flagi, gdyż podejrzewali oni, że obiekt ten może być zamaskowanym bunkrem niemieckim co mogło się dla nas skończyć tragicznie. Wyjaśniłem mu, że nie mogliśmy tego zrobić bo jeszcze przed chwilą byli tutaj żołnierze niemieccy. Amerykanie zostawili nam kilka racji żywnościowych i po chwili odpoczynku ruszyli w dalszą drogę zapewniając nas, że już jesteśmy bezpieczni. Po kilku godzinach, na przeciwległym terenie górskim zaczęto rozlokowywać amerykańską jednostkę artyleryjską. Kilku uzbrojonych żołnierzy tej jednostki zauważywszy przez lornetki nasze osoby dotarło do nas i stwierdziwszy, że jesteśmy Polakami i są wśród nas małe dzieci obiecało ponowną wizytę. Po pewnym czasie dotarła do nas kilkunastoosobowa grupa żołnierzy, w której było dwóch mówiących po polsku i jeden pochodzenia czeskiego. Przynieśli nam znaczne ilości chleba, konserw i czekolady. Wypytywali nas o to jak znaleźliśmy się w Niemczech i jak traktowali nas Niemcy. Po dwóch dniach postanowiliśmy wrócić na teren fabryki w Schleusingen. W drodze powrotnej mijały nas, jadące w kierunku frontu ogromne ilości amerykańskich wojskowych samochodów. Byliśmy rozpoznawani gdyż nadal mieliśmy przypięte litery „P”. W związku z tym z niektórych mijanych nas samochodów podawano

nam artykuły żywnościowe, głównie czekoladę. Z uwagi na rosnącą objętość bagaży zmusiło to nas do „pożyczenia” od mijanego gospodarstwa małego wózka jakiego używano do transportu baniek z mlekiem. Po dotarciu do Schleusingen, zajęliśmy pomieszczenia biurowe fabryki jako nasze kwatery mieszkalne. Na terenie fabryki stacjonowała amerykańska jednostka wojskowa. Prowadzono tam również kuchnię, w której otrzymywaliśmy posiłki. Po pewnym czasie Amerykanie powiadomili nas, że zostaniemy przetransportowani do obozu dla obcokrajowców, który znajdował się w Eisenach. Był to duży kompleks budynków po niemieckich koszarach wojskowych. Byli tam ludzie różnych narodowości. Kolejne grupy były repatriowane do swych krajów tak, że w końcowym okresie pozostali w obozie wyłącznie Polacy. Jednak akcji repatriacyjnej Polaków nie podejmowano.

Po stosunkowo krótkim pobycie w Eisenach, zakomunikowano nam, że obóz ten ulega likwidacji i jego mieszkańcy zostaną przeniesieni w nowe miejsce. W ciągu jednego dnia, przy zaangażowaniu ogromnej ilości ciężarówek wojskowych, kilkanaście tysięcy ludzi zostało przetransportowanych do nowego obozu, który znajdował się w mieście Coburg w Bawarii. Dopiero po kilku dniach doszło do naszej świadomości jaka była faktyczna przyczyna tego przeniesienia. W wyniku porozumienia między aliantami ustalono, że Turyngia wyzwolona przez III armię amerykańską gen. Pattona zostanie włączona do radzieckiej strefy okupacyjnej. Stąd też podjęto decyzję o naszej ewakuacji do strefy amerykańskiej. Obóz dla obcokrajowców w Coburgu administrowany był przez Organizację Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy – UNRRA. Obejmował kompleks budynków po niemieckich koszarach. Utworzono w nim szpital, szkołę powszechną, gimnazjum i liceum oraz bogato wyposażoną świetlicę. Gimnazjum i liceum nosiło imię Ignacego Paderewskiego. Podjąłem naukę w trzeciej klasie tego gimnazjum. Uczyliśmy się intensywnie. W grudniu 1945 roku ukończyłem trzecią klasę zaś w czerwcu 1946 roku uzyskałem świadectwo ukończenia gimnazjum. W szkole tej była wspaniała kadra pedagogiczna, składająca się z osób, które znalazły się w Niemczech w obozach jenieckich, obozach koncentracyjnych względnie w obozach pracy. Dyrektorem gimnazjum był pan Bernard Zbierski – przed wojną dyrektor gimnazjum w Kutnie. Wychowawczynią klasy była polonistka mgr Irena Dymkowska. Matematyki uczył nas mgr Pluciński były wykładowca znanej szkoły im. Wawelberga w Warszawie. Niezwykle ciekawym człowiekiem był katecheta ksiądz Andrzej Bardecki. Pochodził ze Lwowa. W młodym wieku, jako piłkarz grał w drużynie „Czarnych” – Lwów. Przeżył obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie. Podziwialiśmy jego rozległą i wszechstronną wiedzę. Między innymi zapoznawał nas z tajnikami grafologii. Na podstawie zapisu podyktowanego wcześniej tekstu – określał nasze

cechy i na ich podstawie sugerował wybór przyszłego zawodu. Jego kazania cechowały się wielką mądrością i gromadziły zawsze liczne grono słuchaczy. Po powrocie do kraju ks. Bardecki przez wiele lat był członkiem kolegium redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego”. Sytuacja szkolnictwa w Niemczech była w tym czasie dosyć złożona. Do skupisk polskich na tym terenie docierali wysłannicy aktualnej władzy w Polsce, jak również emisariusze tzw. rządu na obczyźnie. Pierwsi z nich apelowali do nas o jak najszybszy powrót do ojczyzny motywując to potrzebą odbudowy zniszczonego wojną kraju, natomiast „londyńczycy” odwrotnie – namawiali ludzi do pozostania na zachodzie, gdyż jak oświadczali, wracający do Polski są automatycznie wywożeni na Syberię. W związku z tak przeciwstawnymi wypowiedziami ludzie byli często w stanie rozterki. W czasie spotkań z przybyłymi z kraju oficerami łącznikowymi dochodziło czasem do ciekawych dyskusji. Padały np. pytania czy w Polsce walutą obiegową jest rubel czy złoty. Po odpowiedzi, że złoty domagano się pokazania aktualnie będących w obiegu banknotów. Po ich obejrzeniu padały następne pytania jak np. dlaczego orzeł na banknocie jest bez korony? Sytuacja ta znajdowała także odzwierciedlenie w organizacji polskiego szkolnictwa w Niemczech. Większość szkół uznawała zwierzchność Warszawy i podlegała Centrali Szkolnictwa Polskiego w Niemczech. Na pieczęcie gimnazjum, do którego uczęszczałem, znajdował się napis: „VIII Okręg Szkolnictwa Polskiego w Niemczech – Gimnazjum i Liceum im. Ignacego Paderewskiego w Coburgu”.

Po powrocie do kraju, na podstawie przedstawionego świadectwa, zostałem bez żadnych problemów przyjęty do liceum. Jak słyszałem, nieco inaczej wyglądała sprawa u osób posiadających świadectwa wydane przez szkoły, które uznawały swą podległość w stosunku do rządu londyńskiego.

Większość osób przebywających w obozie deklarowała chęć szybkiego wyjazdu do kraju. Władze amerykańskie tłumaczyły, że opóźnienia w akcji repatriacyjnej wynikają z przyczyn organizacyjnych. W połowie 1945 r., były wtedy silne upały (dokładnej daty nie pamiętam) rozeszła się wiadomość, że do Coburgu przybył duży oddział polskiego wojska. Była to kilkuset osobowa grupa osób ubranych w polskie mundury wojskowe wyposażona w dużą ilość broni głównie produkcji niemieckiej. Amerykanie ulokowali ich poza naszym obozem, w dwóch miejscowych szkołach. Zadawaliśmy sobie pytanie, jak tak duża, uzbrojona grupa wojska mogła się znaleźć na terenie amerykańskiej strefy okupacyjnej? Okazało się, że była to Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). W czasie okupacji niemieckiej mówiło się, że część naszego podziemia zgrupowana w Narodowych Siłach Zbrojnych współpracuje z Niemcami i jest przez nich, między innymi, zaopatrywana

w broń. Jednostki tego zgrupowania, jak mówiono, zwalczały między innymi, oddziały partyzantki lewicowej oraz radzieckiej działających na terenie Polski, a ponadto wydawały Niemcom ukrywających się Żydów. Opinie te były oczywiście przez zainteresowanych dementowane. Życie ujawniło jednak prawdę. Fakt, że tak liczna grupa wojska z pełnym uzbrojeniem, ubrana w polskie mundury, mogła się znaleźć na terenie Niemiec może mieć tylko jedno wytłumaczenie. Jej wycofanie z terenów Polski mogło mieć miejsce jedynie w ścisłej współpracy z Niemcami. Na teren amerykańskiej strefy okupacyjnej dostali się poprzez terytorium Czechosłowacji. Jednostka ta została przeformowana w tzw. „Kompanie wartownicze”, umundurowana w sorty amerykańskie i wyposażona w nową, również amerykańską broń. Na rękawach mundurów mieli znaki rozpoznawcze w postaci tarczy z zieloną jaszczurką na białym tle. Po kilku dniach żołnierze ci opuścili Coburg.

Patrząc na te sprawy z perspektywy czasu, zdziwienie budzić musi fakt, jak Instytut Pamięci Narodowej z kolaborantów NSZ usiłuje obecnie zrobić „żołnierzy wyklętych” i bohaterów walki o wolną i niepodległą Polskę.

Na początku 1946 r. przy pomocy Czerwonego Krzyża odszukaliśmy mojego ojca. Jako więzień obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen o numerze 40110 pracował w filii tego obozu znajdującej się w zakładzie produkcyjnym montażu i remontu wagonów we Wrocławiu (Komendo Linke – Hoffman Werke). Więźniowie tego obozu w styczniu 1945 roku zostali przeniesieni do miejscowości Kahla (Turyngia) i zatrudnieni pod ziemią przy budowie pomieszczeń podziemnej fabryki. Miejscowość ta, gdzie znajdował się mój ojciec, została wyzwolona przez wojska amerykańskie w dniu 15 kwietnia 1945 roku.

Po przybyciu mego ojca do Coburga, podjęliśmy działania związane z naszym powrotem do kraju. W tym czasie władze amerykańskie zorganizowały akcję repatriacyjną dla Polaków znajdujących się w obozie. Uruchomiono wahadłowo kursujące składy kolejowe, które dowoziły ludzi do Polski, do stacji w Dziedzicach. Tam przybyłych podejmował Państwowy Urząd Repatriacyjny. W składzie pociągu w pierwszym wagonie konwojowali transport do samych Dziedzic, żołnierze amerykańscy. Ponieważ chętnych do wyjazdu było bardzo wielu – poszczególne grupy czekały w kolejce na wyznaczenie terminu wyjazdu.

W międzyczasie nawiązaliśmy kontakt z moim bratem Wacławem. Okazało się, że był on w Polsce i mieszkał w Katowicach. Miał on dużo szczęścia. Jako więzień obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen o numerze 40112 razem z ojcem przebywał w filii tego obozu we Wrocławiu. W tym czasie Wrocław był okresowo bombardowany przez lotnictwo radzieckie. Po nalotach więźniowie obozu byli angażowani do uprzątnięcia zatorów z gruzu zalegającego ulice miasta. W czasie tych prac brat mój, chory na zapalenie płuc, do czego się

nie przyznawał, stracił przytomność. Sytuacja ta stała się niezręczna dla pilnujących więźniów strażników obozowych, bowiem wydarzenie to miało miejsce w centrum miasta co spowodowało zgromadzenie przechodzących obok cywilnych mieszkańców miasta. Któryś z nich wezwał karetkę pogotowia. W zaistniałej sytuacji strażnicy obozowi zanotowali adres szpitala do którego zamierzano zawieść brata i oświadczyli, że przyjedzie tam karetka obozowa, która go z tego szpitala zabierze. W szpitalu tym jednak, z uwagi na brak miejsc, brata nie przyjęto i karetkę skierowano do innego szpitala. Tam w stroju szpitalnym stał się osobą anonimową i strażnicy obozowi nie mogli trafić na jego ślad. Brat przeżył oblężenie Wrocławia i po jego zajęciu przez wojska radzieckie wrócił do Katowic.

Termin naszego powrotu do kraju przypadł na miesiąc lipiec 1946 roku. Czekać na termin wyjazdu ukończyłem jeszcze kurs samochodowy i uzyskałem prawo jazdy na samochód osobowy wydane mi przez dyrektora UNRRA.

Powrót do kraju

W lecie 1946 r., wraz z rodzicami opuściliśmy obóz w Coburgu i w dniu 14 lipca 1946 r. transport nasz dotarł do punktu przyjęcia Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Dziedzicach. Zostaliśmy zaopatrzeni w zaświadczenia repatriacyjne, upoważniające nas jednocześnie do bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do Katowic.

Początkowo zamieszkaliśmy w mieszkaniu znajomych moich rodziców na ul. Jagiellońskiej Nr 3 albowiem odzyskanie mieszkania z którego nas wysiedlili Niemcy, przy ul. Kościuszki 28 wymagało załatwienia szeregu formalności.

Po powrocie do kraju rozpocząłem naukę w Państwowym Koedukacyjnym Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych w Katowicach na kierunku matematyczno-fizycznym, gdzie w dniu 30 czerwca 1947 r. uzyskałem świadectwo maturalne. Ojciec mój podjął pracę w Centralnym Zarządzie Przemysłu Węglowego w Katowicach. Po zdaniu matury zgodnie z sugestią mojego ojca, podjąłem próbę dostania się na studia na Wydziale Chemicznym Politechniki Śląskiej. Mimo pozytywnych wyników jakie uzyskałem na egzaminie wstępnym, znalazłem się na liście rezerwowej. Wpływ na to miała prawdopodobnie niska punktacja związana z tzw. „pochodzeniem społecznym”, którą w owym czasie brano pod uwagę. Najmniejszą ilość punktów dawało pochodzenie z rodzin tzw. „inteligencji pracującej”.

Pracujący, w okresie poprzedzającym podjęcie studiów, otrzymywali przy ocenie wyników egzaminu wstępnego dodatkowe punkty. By zwiększyć swą szansę na dostanie się na studia w przyszłości podjąłem pracę w ówczesnym Instytucie Naukowo-Badawczym Przemysłu Węglowego w Katowicach (obecnie GIG) gdzie pracowałem jako laborant. W okresie tym miałem okazję poznać prof. Bolesława Krupińskiego, jedną z czołowych postaci środowiska górniczego. W oparciu o jego sugestie w 1948 roku zdałem egzamin wstępny i podjąłem studia na Wydziale Górniczym ówczesnej Akademii Górniczej w Krakowie uzyskując w 1952 roku dyplom inżyniera górniczego. W czasie, gdy rozpoczynałem studia rektorem Akademii Górniczej był prof. Walery Goetel a dziekanem Wydziału Górniczego prof. Stanisław Gołąb. W trakcie studiów kilkakrotnie byliśmy angażowani do uczestniczenia w tzw. czynach społecznych pod hasłem pracy na rzecz odbudowy Warszawy i Wrocławia. W niektóre niedziele dowożeni byliśmy na kopalnie i na dole angażowani do prac fizycznych, głównie do ładowania na urządzenia transportowe urobionego wcześniej węgla. Wypracowane przez nas środki finansowe, jak nas informowano, zasilają fundusze przeznaczone na odbudowę wymienionych wyżej miast. W owym czasie studia odbywały się w systemie dwustopniowym. Mimo spełnienia warunków upoważniających mnie do studiów

drugiego stopnia, ze względów materialnych, zdecydowałem się na podjęcie pracy. Studia magisterskie odbyłem później, w okresie swej pracy na kopalni „Generał Zawadzki”.

Moja górnicza droga

W czasie studiów wszystkie moje praktyki odbywałem w kopalni „Katowice”. Mimo, że kierownictwo kopalni wnioskowało o skierowanie mnie, w ramach nakazu pracy, do tej kopalni, otrzymałem skierowanie do Głównego Instytutu Górnictwa w Katowicach, gdzie zostałem zatrudniony jako asystent w Zakładzie Górniczym. Bezpośrednim moim przełożonym był inż. Czesław Czerski – przed wojną zawiadowca w kopalni „Dębieńsko”.

W końcu 1952 roku, wobec niedostatku kadry w kopalniach ogłoszono apel by, wyrażający na to zgodę, a zatrudnieni w biurach projektów i zapleczu naukowo-badawczym inżynierowie przechodzili do pracy w zakładach górniczych. W związku ze zgłoszeniem swojej kandydatury, zmieniono mi nakaz pracy i z dniem 1 stycznia 1953 roku zostałem przeniesiony na kopalnię „Jowisz” w Wojkowicach Komornych. Kopalnia ta wchodziła w skład ówczesnego Dąbrowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego. W kopalni tej pracowałem do maja 1955 r. w dozorze górniczym przechodząc kolejne stanowiska do nadsztygara – zastępcy kierownika robót górniczych. Równocześnie pełniłem funkcję kierownika kopalnianej stacji ratownictwa górniczego.

Praca w górnictwie, w tym okresie, nie należała do łatwych. Ustawiczne braki kadrowe powodowały konieczność zatrudniania pod ziemią żołnierzy, kobiet, a w niektórych kopalniach więźniów. Poważne trudności w zaopatrzeniu materiałowym były przyczyną licznych awarii powodujących przerwy w produkcji. Nacisk na realizację planów wydobywania węgla był ogromny. Powodowało to konieczność trzyzmianowej działalności wydobywczej kosztem częściowego ograniczenia czasu pracy szybów dla przeprowadzenia w nich niezbędnych przeglądów, konserwacji. Kopalnie pracowały praktycznie w sposób ciągły, w tym wszystkie soboty i niedziele.

Pełniąc ponadto funkcję kierownika kopalnianej stacji ratownictwa, w myśl obowiązujących przepisów, w dni świąteczne musiałem, na zmianę z moim zastępcą sztygarem Józefem Gregorczykiem pełnić z dwoma zastępami ratowników 24 godzinne dyżury w Stacji Ratowniczej. W tej sytuacji z trudem udało mi się w 1954 r. uzyskać krotki urlop na zawarcie związku małżeńskiego z żoną Anną.

Podstawowa część załogi kopalni „Jowisz” rekrutowała się z mieszkańców sąsiednich miejscowości i w większości była dowożona do pracy pojazdami samochodowymi. Byli to

z reguły ludzie posiadający w swym miejscu zamieszkania małe gospodarstwa rolne, czyli jak się to wtedy nazywało „chłoporobotnicy”. Uwypuklało to pewne specyficzne cechy tego środowiska. Byłem świadkiem, a właściwie uczestnikiem pewnego wydarzenia, jakie miało miejsce w tej kopalni w końcu 1954 roku.

Kierownictwo kopalni, szukając środków do zwiększenia produkcji węgla, wysunęło propozycję, by w jedną z sobót załoga drugiej zmiany pozostała na stanowiskach pracy dłużej tzn. do przybycia na miejsce pracowników zmiany trzeciej. Zakładano, że wyeliminowanie przerwy międzymianowej da dodatkowy efekt produkcyjny. Na poprzedzających ten dzień naradach oddziałowych poinformowano o tym załogę i nie spotkano się z jej strony ze sprzeciwem. Kiedy nadeszła ta sobota, ja byłem wyłączony ze spraw produkcji, gdyż w tym czasie z ratownikami zajmowałem się likwidacją zagrożenia pożarowego w ówczesnym III oddziale kopalni. Ratownicy wykonywali tam prace związane z budową kilku tam umożliwiających wykonanie izolacyjnych korków podsadzkowych. Po przybyciu do miejsca akcji zmieniających nas ratowników pod kierownictwem sztygara J. Gregorczyka, z grupą 10 ratowników udałem się w kierunku szybu zjazdowego. Było to blisko północy. W rejonie podszybia spotkaliśmy tłum niezwykle podekscytowanych górników. Okazało się, że mimo apelu kierownictwa kopalni, pracownicy drugiej zmiany opuścili swe stanowiska pracy w normalnym czasie, jednak po przybyciu na podszybie, zgodnie z poleceniem kierownictwa kopalni, sygnaliści odmówili im wyjazdu na powierzchnię. Doszło do awantury tym bardziej, że do tej grupy dołączyli się również górnicy zjeżdżający na dół do pracy na trzeciej zmianie. W związku z tym całe podszybie sąsiadujących ze sobą szybów „Edward” (wydobywczego) i „Karol” (zjazdowo materiałowego) były pełne ludzi domagających się wyjazdu na powierzchnię. Protestujący unieruchomili jednocześnie szyb wydobywczy „Edward” spinając wozy znajdujące się na klatce ze znajdującymi się poza nią. Ponieważ nieco poturbowani sygnaliści uciekli a oprócz mnie nie było żadnej osoby dozoru – żądania te kierowano do mojej osoby umaszczając je niezbyt cenzuralnymi słowami. Z tłumu padały także groźby wrzucenia mnie do szybu. Skuteczną ochronę mojej osoby stanowili towarzyszący mi ratownicy. Napięcie nieco opadło gdy oświadczyłem, że uruchamiamy wyjazd ale trzeba w związku z tym odszukać sygnalistów i odblokować szyb „Edward”. O decyzji tej i sytuacji na podszybiu powiadomiłem telefonicznie ówczesnego dyrektora kopalni inż. Antoniego Sitko. Po odszukaniu sygnalistów i uruchomieniu wyjazdu okazało się, że z dołu wyjechali także niektórzy pracownicy którzy mieli pracować na trzeciej zmianie. Po przywróceniu normalnego ruchu wyjechałem na powierzchnię i zostałem poproszony do pomieszczeń zajmowanych przez tw. ROP (Referat Ochrony Przemysłu). Siedziało tam kilku panów

z wiadomej instytucji. chcieli abym zreferował im to co działo się na dole, a szczególnie abym podał im nazwiska tych pracowników, którzy na dole wyróżniali się agresywnością. Oświadczyłem, że takich wyróżniających nie było, bo wszyscy byli równie agresywni. Wydarzenie to było dla mnie kolejną lekcją życia. Naocznie przekonałem się co oznacza pojęcie „psychiki tłumu”. W grupie protestujących obserwowałem tych, którzy przedtem znałem jako przykładowie ułożonych i pełnych spokoju. Zachowywali się oni podobnie jak pozostali, manifestując swą agresywność i przekrzykując się z innymi.

Kierując kopalnianą stacją ratowniczą, uczestniczyłem też kilkakrotnie w akcjach ratowniczych w innych kopalniach takich jak: Milowice, Klimontów i Kazimierz-Juliusz. najdłuższy czasowo był udział w akcji pożarowej w ówczesnej kopalni „Prezydent”, której dyrektorem był w tym okresie inż. Janczar.

Kończący się obowiązujący trzyletni okres nakazu pracy oraz sytuacja rodzinna (zbliżające się narodziny dziecka) spowodowały konieczność podjęcia starań o zmianę miejsca zamieszkania na Katowice (gdzie mieszkali rodzice) a w ślad za tym miejsca pracy. Po wstępnych rozmowach przeprowadzonych w Katowickim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego złożyłem wnioski o przeniesienie na kopalnię „Wujek”. W tym czasie obowiązywała zasada umożliwiająca takie przeniesienie wyłącznie za porozumieniem stron. Ówczesny dyrektor Zjednoczenia Dąbrowskiego inż. Stanisław Tymiński nie wyraził zgody na moje przeniesienie, natomiast uwzględniając moją argumentację przeniósł mnie z kopalni „Jowisz” do Dąbrowskiego Zjednoczenia P.W. powierzając mi funkcję inspektora technicznego do spraw wentylacyjno-pożarowych. Funkcję tę pełniłem do końca czerwca 1956 roku, a z dniem 1 lipca tego roku zostałem powołany na stanowisko naczelnego inżyniera kopalni „Generał Zawadzki” w Dąbrowie Górniczej. W tym czasie dyrektorem kopalni był inż. Tadeusz Rachniowski. Był znakomitym fachowcem, o dużym doświadczeniu praktycznym, człowiekiem o ogromnej kulturze osobistej. W chwili objęcia przez niego funkcji dyrektora w 1953 r. kopalnia przechodziła głęboki kryzys spowodowany kilkoma pożarami dołowymi i utratą frontu eksploatacyjnego. Na przestrzeni krótkiego czasu dyrektor Rachniowski doprowadził kopalnię do stanu pozwalającego zaliczyć ją do grona najlepszych. Na początku 1958 r. dyr. Rachniowski został dodatkowo powołany na dyrektora kopalni odkrywkowej węgla kamiennego „Brzozowica” zlokalizowaną na wychodniach pokładów siodłowych 501 i 510. Te dwie funkcje pełnił równocześnie. Kopalnia ta w owym czasie znajdowała się w stanie technicznej zapaści i wykonywała jedynie kilkadziesiąt procent swych zadań wydobywczych. Dzięki inicjatywie dyrektora Rachniowskiego zmieniono w tej kopalni całkowicie system odstawy urabianego techniką strzelniczą nadkładu karbońskiego.

W miejsce niefortunnej odstawy taśmowej wprowadzono kroczące koparki zgarniakowe typu Drageline co stworzyło warunki normalnego funkcjonowania kopalni. O skali tego problemu świadczy fakt, że w owym czasie do urabiania nadkładowych skał karbońskich kopalnia zużywała codziennie blisko 1000 kg materiałów wybuchowych. Z dniem 1 lipca 1958 r. kopalnia „Brzozowica” została połączona z kopalnią „Gen. Zawadzki”.

W październiku 1956 r. znalazłem się w ciekawej sytuacji. Było to dokładnie w dniu 23.10.1956 r. gdy w godzinach rannych zjechałem na dół kopalni. Zawiadomiono mnie, że mam natychmiast wyjechać na powierzchnię i skontaktować się z Ministerstwem Górnictwa poprzez podany mi numer telefonu. Dowiedziałem się, że na czele 10 osobowej grupy górników mam udać się do Warszawy w celu złożenia, w imieniu braci górniczej, gratulacji i życzeń Władysławowi Gomułce z okazji jego wyboru na stanowisko I Sekretarza KC PZPR. Zakomunikowano mi, że w godzinach popołudniowych mam się stawić w galowym mundurze górniczym w budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach wraz z dwoma wyznaczonymi górnikiem z kopalni „Generał Zawadzki”. Ponieważ w tym czasie nie miałem jeszcze własnego munduru galowego, pożyczył mi swój dyrektor Rachniowski. Po przybyciu do Katowic zebrano nas w salce na parterze budynku. Górnicy rekrutowali się z różnych kopalń. Oprócz górników Matysa i Słusznika z kopalni „Generał Zawadzki” było dwóch górników z kopalni „Wujek” oraz reprezentujący jedną z zabrzańskich kopalń górnik Poloczek, późniejszy działacz Związku Zawodowego Górników. Miał nam również towarzyszyć przedstawiciel prasy, dziennikarz z „Trybuny Robotniczej” pan Bolesław Konecki. Do pokoju w którym przebywaliśmy przyszli po pewnym czasie ówczesny wiceminister górnictwa Jan Mitreğa oraz sekretarz KW PZPR Ryszard Trzcionka. Poinformowali nas o szczegółach naszej wizyty w Warszawie jaką mieliśmy odbyć w ciągu następnego dnia. Wieczorem, gdy zapadł już zmrok, ulicą Ligonia od strony ul. Francuskiej wyszedł kilkusetosobowy tłum i skierował się w stronę budynku KW PZPR. Manifestujący w tym pochodzie wznosili okrzyki, śpiewali, niektórzy z nich nieśli zapalone pochodnie. Gdy podeszli pod budynek otworzyliśmy okna i nawiązany został z nimi przyjazny słowny kontakt. jeden z przybyłych apelował do górników aby już więcej nie dodawali kamienia do wydobytego węgla. Po chwili tłum ten skierował się w ulicę Jagiellońską w kierunku placu Miarki.

Naszą grupę przewieziono na dworzec i ulokowano w wagonie sypialnym. Rano, po przybyciu do Warszawy przewieziono nas do siedziby Ministerstwa Górnictwa i Energetyki na ul. Kruczej. Spotkaliśmy się na krótko z ówczesnym Ministrem Franciszkiem Waniółką i po śniadaniu, którym nas podjęto, przeszliśmy do gmachu KC PZPR. Gmach ten był

otoczony tłumem rozentuzjowanych mieszkańców Warszawy. Wprowadzono nas do sali, gdzie po chwili pojawił się Edward Gierek pracujący wówczas w Komitecie centralnym. Poinformował nas, że Władysław Gomułka po dwóch nieprzespanych nocach, wobec mającego się odbyć w tym dniu wiecu, dał się namówić na krótką drzemkę. Zaproponował, że przekaże mu nasze życzenia, chyba, że będziemy chcieli z nim się spotkać, to w ciągu 15 minut przyjdzie do nas osobiście. Wobec naszego sprzeciwu zostaliśmy zaproszeni do udziału w wiecu jaki miał się odbyć w tym dniu przy Pałacu Kultury. Udział w tym wiecu wywarł na nas wielkie wrażenie. Nieprzebrane tłumy ludzi skandowały „Wiesław, Wiesław!” Była to wielka manifestacja patriotyzmu. Gomułka niósł Polakom nadzieję na skromną normalizację i pewną niezależność od naszego wschodniego sąsiada. Po zakończeniu wiecu, moich podopiecznych górników rozradowani warszawiacy zaczęli zapraszać do swego towarzystwa na kawę, piwo i inne napoje. Bałem się by w tej sytuacji zdążyli oni na powrotny pociąg. Obawy moje okazały się nieuzasadnione. Wszyscy zgłosili się na dworzec w komplecie, chociaż niektórzy w różnym stanie.

Okres współpracy z dyrektorem Rachniowskim wspominam bardzo ciepło. przyjacielskie stosunki między nami i pełne, wzajemne zaufanie dawały satysfakcję w wykonywanej pracy. Z dniem 1 lipca 1958 r. dyrektor Rachniowski przeszedł na stanowisko generalnego dyrektora kopalń siarki w Tarnobrzegu.

Kierowanie kopalnią „Generał Zawadzki” w latach 1958-1969

Na stanowisko dyrektora kopalni zostałem powołany z dniem 1 lipca 1958 r. W tym czasie w jej skład obok kopalni właściwej, wchodziły: upadowa Będzin, upadowa Mars, upadowa Korzelew oraz przyłączona do niej z dniem 1 lipca 1958 r. kopalnia odkrywkowa „Brzozowica”. Do kopalni należała również kopalnia odkrywkowa piasku w Gołonogu. Kopalnia posiadała zakład leczniczo-zapobiegawczy dysponujący specjalistycznymi gabinetami a ponadto żłobek i przedszkole przyzakładowe.

W okresie gdy kierowałem kopalnią podejmowanych było szereg działań inwestycyjnych. W 1960 roku oddano do użytku nową lampiarnię na 4260 lamp i nowoczesną dyspozytornię. W latach 1966 i 1967 zainstalowano na szybach „Małobądź” (oddanym do eksploatacji w 1960 r.) i „Walery” nowe wentylatory, zamontowano nową maszynę wyciągową na szybie „Generał Zawadzki”, rozbudowano i zwiększono zdolność przerobczą płuczki, wybudowano przy szybie „Walery” nowy zbiornik podsadzkowy i oddano go do użytku w 1964 r. W tym samym roku oddano też do użytku nową łaźnię i stację ratowniczą.

Wobec wyczerpywania się zasobów w kopalnianej piaskowni „Gołonóg II” przystąpiono do budowy nowej piaskowni „Gołonóg III”. Pod koniec lat sześćdziesiątych przystąpiono do budowy nowego poziomu wydobywczego 390 m i rozpoczęto głębianie do niego nowego szybu wydobywczego „Andrzej”.

W tych wszystkich działaniach wspierał mnie aktywnie naczelny inżynier kopalni inż. Andrzej Groyecki. Gdy otrzymywałem z rąk ówczesnego dyrektora Zjednoczenia Dąbrowskiego inż. Stanisława Tyimińskiego moją nominację na stanowisko dyrektora kopalni zostałem zapytany kogo proponuję na stanowisko naczelnego inżyniera. Zaproponowałem kandydaturę ówczesnego kierownika robót górniczych w kopalni „Milowice” inż. Andrzeja Groyeckiego którego znałem z kontaktów zawodowych. Dyrektor Tyimiński zaznaczył, że z tą kandydaturą mogą być trudności bo Groyecki nie jest członkiem partii. Ja odpowiedziałem, że za to jest mądry. Po dwóch dniach dyrektor Tyimiński powiadomił mnie, że przedstawiona kandydatura została przyjęta. Z Andrzejem Groyeckim przepracowałem prawie 11 lat i przekonałem się, że moja propozycja była w pełni trafna. Był to znakomity inżynier o dużym doświadczeniu i inwencji twórczej. Był autorem szeregu pomysłów racjonalizatorskich, w tym kolejki linowej do transportu materiałów „Groy”. W tym czasie nie były jeszcze dostępne podobne rozwiązania oferowane w późniejszym okresie przez fabryki maszyn górniczych. Był także pomysłodawcą urządzenia do tzw. „olunku” (nacięcia) stojaków górniczych. Kopalnia „Generał Zawadzki” prowadziła eksploatację wyłącznie na podsadzkę płynną. Ten system eksploatacji wymaga stosowania głównie obudowy drewnianej. Stojaki drewniane przed ich zabudową wymagały wykonania tzw. „olunku” robionego przez górników siekierą. Urządzenie pomysłu inż. Andrzeja Groyeckiego wykonywało tę czynność mechanicznie, na powierzchni kopalni i wszystkie stojaki transportowane pod ziemię miały już taki olunek. Rozwiązanie to spotkało się z pełną aprobatą górników.

W początkowym okresie najwięcej problemów technicznych związanych było z działalnością kopalni „Brzozowica”. Kopalnia ta powstała z inicjatywy byłego wiceministra górnictwa i energetyki Mieczysława Lesza. Niektóre niefortunne rozwiązania przyjęte w projekcie budowy tej kopalni zostały częściowo wyeliminowane zmianami wprowadzonymi przez dyr. Rachniowskiego, jednak powstałe znaczne opóźnienia w zbieraniu nadkładu oraz procesie wywłaszczania terenu powodowały nadal osiągnięcie przez tą jednostkę słabych wyników ekonomicznych. Wkrótce po powierzeniu mi stanowiska dyrektora, ówczesny minister górnictwa i energetyki Franciszek Waniołka powołał specjalną komisję, której zadaniem było zbadanie aktualnej sytuacji kopalni „Brzozowica” i ustalenie

wniosków co do dalszych jej losów. Przewodniczącym tej komisji został ówczesny przewodniczący zespołu doradców ministra dr inż. Józef Tuchołka. Zgodnie z zaleceniami komisji zespół kopalniany opracował 3 warianty perspektywicznego prowadzenia tej jednostki. Wariant pierwszy zakładał dalsze prowadzenie eksploatacji odkrywkowej do granicy jaką była droga łącząca Katowice z Warszawą. Wariant drugi przewidywał również dalsze prowadzenie eksploatacji odkrywkowej z jednoczesnym wydłużeniem wybiegu odkrywki poprzez przełożenie odcinka drogi łączącej Katowice z Warszawą, natomiast wariant trzeci, preferowany przez mnie, zakładał dalsze wybieranie złoża eksploatacją podziemną. Na końcowym posiedzeniu komisji postanowiono przyjąć do realizacji wariant drugi według którego należało kontynuować eksploatację odkrywkową z jednoczesnym przełożeniem wspomnianej drogi na odcinku 1 kilometra. Po posiedzeniu komisji dr Tuchołka zaproponował mi abym w godzinach popołudniowych spotkał się z nim w jego ministerialnym gabinecie. W trakcie naszej rozmowy oświadczył mi, że w niedługim czasie, z uwagi na podeszły wiek, wybiera się na emeryturę, ale jako senior chciałby mi, jako młodemu inżynierowi, przekazać swoją opinię jakiej nie mógł wyrazić w trakcie prac komisji. Uznał, że preferowany przeze mnie wariant przejścia na eksploatację podziemną na „Brzozowicy” był z inżynierskiego punktu widzenia najbardziej racjonalny. Uznał jednak, że przyjęcie tego wariantu musiałoby wywołać pytanie, kto był wobec tego autorem tej niefortunnej koncepcji budowy kopalni odkrywkowej? Jak oświadczył dr Tuchołka odpowiedź na to pytanie jest jasna, bowiem inicjatorem tej budowy był wiceminister Mieczysław Lesz i w związku z tym to on winien ponieść określone konsekwencje. Jak twierdził dalej dr Tuchołka, jest to mało prawdopodobne, bowiem żyje on w wielkiej przyjaźni i spędza wspólne urlopy z ministrem Franciszkiem Waniółką.

Według wywodów dr. Tuchołki, w przypadku stwierdzenia, że należy przejść na eksploatację podziemną, konsekwencje takiej decyzji mogłyby dotknąć nie wiceministra Lesza, ale tego który ośmielił się podważyć dotychczasową koncepcję eksploatacyjną. Na zakończenie naszego spotkania dr Tuchołka zasugerował mi jaki powinienem mieć stosunek do tej całej sprawy. Z uwagi na to, że mój rozmówca znany był z częstego używania soczystego języka – jego pełnej wypowiedzi nie wypada mi przytoczyć.

Sytuacja kopalń prowadzących eksploatację z zastosowaniem podsadzki płynnej różniła się od stosujących eksploatację zawałową. Zakłady Konstrukcyjno-Mechanizacyjne Przemysłu Węglowego swoją uwagę koncentrowały głównie na rozwiązaniach mających zastosowanie w ścianach z zawałem stropu, natomiast ściany podsadzkowe pozostawały w tyle w zakresie rozwiązań mechanizacyjnych. W ścianach tych do obudowy używano

wyłącznie drewnianych stojaków i stropnic. Węgiel był urabiany materiałem wybuchowym. Niewielka ilość urobionego węgla była ładowana samoczynnie na przenośnik zgrzeblowy przez zdjęcie przykrywających go blach, natomiast przeważająca ilość urobionego węgla musiała być ładowana ręcznie. Po wykonaniu robót strzałowych wykonywana była obudowa tymczasowa polegająca na podwieszaniu drewnianych stropnic na tzw. podciągach. W ślad za wybieranym węglem pod stropnice podbudowano stojaki. Przełożenie przenośnika zgrzeblowego mogło nastąpić po jego uprzednim zdemontowaniu. Taka organizacja pracy w ścianach podsadzkowych stosowana była przez wiele lat i nie dawała możliwości poprawy efektywności. Szukając możliwości poprawy tej sytuacji, grupa inżynierów kopalni (Strzemiński, Waclawek i Przybyła) opracowała nową konstrukcję kotwy rozprężnej pozwalającej na odmienny sposób umocowania stropnic. Kotwy te nadawały się do wielokrotnego użytku. Ta metoda pozwalała na zabudowę stojaków po wcześniejszym przesunięciu w ścianie przenośnika zgrzeblowego w całości, jak również wprowadzenia urządzenia ładującego węgiel, wykonanego na bazie adoptowanego do tego celu kombajnu względnie przekonstruowanej wrębiarki. Stanowiło to zasadniczy przełom w prowadzeniu ścian podsadzkowych. Po uzyskaniu zgody Urzędu Górniczego, uruchomiono początkowo, tytułem próby, jedną ścianę w ówczesnym oddziale IV. Miała ona wysokość około 3,2 m. Niestety, po pewnym okresie, przy uzyskiwaniu znakomitych rezultatów produkcyjnych, w ścianie tej miał miejsce wypadek śmiertelny. Jego przyczyną było jednak oberwanie się łąty węgla ze źle oberwanego ociosu ściany, nie miało to natomiast żadnego związku z wprowadzeniem kotwi. Mimo tego, ówczesny wiceprezes WUG inż. Włodzimierz Lejczak nakazał wstrzymanie dalszego ruchu tej ściany żądając przedłożenia opinii eksperckiej z zakresu mechaniki górotworu. Zwróciłem się do autorytetu w tej dziedzinie jakim był prof. Antoni Sałustowicz z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W trakcie spotkania z nim, jakie odbyło się w murach Akademii i po zreferowaniu sprawy oraz przedstawieniu niezbędnej dokumentacji, profesor wyraził swą pozytywną opinię dla tego rozwiązania. Opinię tą napisał odręcznie w trakcie naszego spotkania. Gdy zapytałem o formę zapłaty za opracowaną opinię, profesor zachnął się i powiedział, że dla niego największą satysfakcją jest to, że może być przydatny swoim wychowankom. We współczesnych czasach taka sytuacja wydaje się być niewyobrażalną.

Szukając rozwiązań mających na celu poprawę efektywności produkcji w roku 1968 uruchomiono w pokładzie 501 pierwszą w Polsce kompleksowo zmechanizowaną ścianę podsadzkową o długości 75 metrów, wyposażoną w kombajn dwubębnowy KBR-2, przenośnik Samson, zmechanizowaną obudowę GIG-OW i przesuwną tamę podsadzkową

typu GIG-TP2. Ze ściany tej uzyskiwano średnie wydobyte w wysokości 800 t/dobę co w ówczesnych warunkach było istotnym osiągnięciem. Dla intensyfikacji wykonywania robót chodnikowych utworzono w kopalni wydzielony oddział robót przygotowawczych. Przedtem roboty te wykonywały poszczególne oddziały we własnym zakresie. Dało to znaczące efekty. Wzorując się na doświadczeniach kopalni „Generał Zawadzki” podobną organizację wprowadzały też inne kopalnie.

W okresie mej pracy miało miejsce pewne zdarzenie, które warte jest przypomnienia. Niestety nie pamiętam dokładnej jego daty bowiem nie zostało ono udokumentowane.

Po zakończeniu wiosennych ćwiczeń wojskowych miał się odbyć uroczysty przemarsz tych jednostek przez Dąbrowę Górniczą. W związku z tym pod budynkiem dyrekcji ówczesnej huty „Feliksa Dzierżyńskiego” („Bankowej”) została wybudowana trybuna na którą, obok władz miasta, zostali zaproszeni dyrektorzy miejscowych zakładów przemysłowych. Gdy stałem na trybunie, zaczął mnie ciągnąć za nogawkę strażnik pilnujący wejścia do budynku dyrekcji mówiąc, że mam pilny telefon z kopalni. W gabinecie dyrektora huty podano mi słuchawkę telefoniczną, przez którą dyspozytor kopalni poinformował mnie, że w głównym szybie wydobywczym jest pożar i dymy pożarowe przemieszczają się do głównych wyrobisk kopalni. W tym czasie zarówno naczelnny inżynier kopalni jak i kierownik wentylacji byli na dole i nie można było z nimi nawiązać kontaktu. Dyspozytor powiedział ponadto, że zgodnie z założeniami planu przeciwpożarowego kopalni, polecił wykonać krótkie spięcie wentylacyjne do szybu „Barbara”, oraz że oddziały na dole zostały powiadomione o zagrożeniu i ludzie winni się ewakuować w kierunku szybów wentylacyjnych. Ponieważ droga dojazdowa do kopalni była zajęta przez przemieszczające się wojsko, postanowiłem dotrzeć do kopalni przez teren huty, która graniczyła z kopalnią. Gdy dotarłem do dyspozytorni – dyspozytor a był nim, jak się okazało niezwykle rozważny człowiek Józef Bobka, potwierdził mi to co przekazał wcześniej przez telefon. W zaistniałej sytuacji, po włączeniu do akcji zastępów ratowniczych kopalni, podtrzymałem polecenie ewakuacji pracowników przez peryferyjne szyby wentylacyjne i podjąłem decyzję o okresowym wstrzymaniu pracy wentylatorów na szybie „Małobądz”. Po otrzymaniu meldunku, że załoga całej zmiany została bezpiecznie ewakuowana odetchnąłem z ulgą ale zdziwiło mnie to, że na kopalnię nie przyjechał nikt ze zjednoczenia ani urzędu górniczego. Wtedy dyspozytor złapał się za głowę i przyznał, że o wydarzeniu zapomniał zawiadomić wymienione instytucje. Było to wbrew obowiązującym zasadom, ale ponieważ było to już po fakcie, postanowiłem by tego wydarzenia nie zgłaszać do jednostek zewnętrznych. Przyczyną zaistniałego pożaru było zaproszenie ognia przez pracowników oddziału szybowego.

W szybie tym znajdowały się ślepe wyloty starych wyrobisk górniczych do których był dostęp jedynie ze skipu. Do tych miejsc mogli się dostać jedynie pracownicy oddziału szybowego. Wyrobiska te traktowali jako podręczne magazyny, względnie miejsca dla wypoczynku. Tam też przez nieuwagę został zaproszony ogień, który objął swym zasięgiem część kabli oraz znajdujących się tam palnych materiałów. Ognisko pożarowe zostało stosunkowo szybko zlikwidowane przez zastępy ratownicze. Godnym podkreślenia jest profesjonalne zachowanie się w zaistniałej sytuacji dyspozytora Józefa Bobki. W tym czasie każda kopalnia zobowiązana była do posiadania planu przeciwpożarowego uwzględniającego zasady postępowania w różnej sytuacji zagrożenia pożarowego. Do zapoznania się z tym planem zobowiązane były osoby dozoru oraz służby dyspozytorskie. Prowadzone były również okresowe gry pożarowe. W zaistniałej sytuacji sprawdziła się przydatność tych planów.

Kopalnia „Generał Zawadzki” odgrywała istotną rolę w rozwoju Dąbrowy Górniczej. W ramach ogólnopolskiej akcji „Tysiąc szkół na tysiąclecie” została zobowiązana do budowy szkoły imienia Ignacego Domeyki zlokalizowanej w niewielkiej odległości od znanej „Dąbrowskiej Sztęgarki”. Wmurowanie kamienia węgielnego tego obiektu odbyło się bardzo uroczyście, przy udziale ówczesnego wojewody śląskiego Jerzego Ziętka. Ponadto, w ramach powołanego do życia „Komitetu Upiększania Miasta”, którego zostałem przewodniczącym, a moim zastępcą dyrektor huty im. Feliksa Dzierżyńskiego – inż. Bulski, wykonywano ogromny zakres prac związanych z tworzeniem śródmiejskiego parku na zdewastowanym terenie po byłej kopalni „Reden”. W pracach tych brali udział pracownicy delegowani z miejscowych zakładów pracy, wykorzystywany był także ciężki sprzęt w postaci koparek i spychaczy. Największy w skali miasta, udział w tych pracach miała kopalnia „Generał Zawadzki”. Były one wykonywane, jak to się wówczas mówiło, na zasadzie czynów społecznych, natomiast koszty z tym związane ponosiły zakłady pracy.

Historia kopalni „Reden”

Na obszarze górniczym kopalni „Generał Zawadzki” znajdowała się nieczynna kopalnia „Reden”, która według oficjalnych źródeł została zamknięta w wyniku pożaru w 1935 roku. Początki eksploatacji węgla na tym terenie miały miejsce już w 1785 roku. Pierwotnie węgiel wydobywano wyłącznie sposobem odkrywkowym, natomiast na przełomie XVIII i XIX wieku rozpoczęto eksploatację głębinową. Kopalnia była zaczątkiem dzisiejszej Dąbrowy Górniczej. Przedmiotem eksploatacji był pokład 510 o średniej miąższości 16,0

metrów. Węgiel był skłonny do samozapalania co było przyczyną licznych pożarów. Kopalnia ta przewietrzana była wentylacją tłoczącą, co w przypadku powstających ognisk pożarowych było bardzo niekorzystne. W dniu 29 czerwca 1935 roku w południowo-zachodniej części kopalni wystąpił pożar, w wyniku czego, jak oficjalnie stwierdzono, wobec niemożności jego opanowania, podjęto decyzję o zamknięciu kopalni. W czasie gdy pełniłem obowiązki dyrektora kop. „Generał Zawadzki” kierownikiem działu mierniczo-geologicznego był inżynier Eugeniusz Bielecki. Z wykształcenia był on inżynierem miernictwa górniczego. Przy wzorowo wykonywanej pracy pasjonował się również badaniem historii Zagłębia Dąbrowskiego. twierdził, że zamknięcie kopalni „Reden” nastąpiło w wyniku decyzji ówczesnego jej właściciela, którym było Towarzystwo Franko-Polskie, a istniejący pożar był tylko pretekstem do uzasadnienia tej decyzji. Wobec występującej w tym okresie recesji w przemyśle węglowym jej właściciele szukali wygodnego wytłumaczenia dla tej decyzji unikając tym samym protestów ze strony załogi. Dla potwierdzenia swej opinii inż. Bielecki pokazał mi lokalną gazetę z tego okresu, w której znajdował się obszerny artykuł o tym pożarze wraz z informacją, że na kopalni przebywa ówczesny naczelnik Okręgowego Urzędu Górniczego w Dąbrowie Górniczej inż. Zawadzki a także ekspert w zakresie wentylacji i pożarów podziemnych z Akademii Górniczej w Krakowie dr inż. Witold Budryk. Pokazywał mi także plany pokładowe kopalni „Reden”, na których, w trakcie prowadzenia akcji przeciwpożarowej prof. Budryk kreślił własnoręcznie szkice schematów wentylacyjnych oraz nanosił swe uwagi. Inż. Bielecki zwracał szczególną uwagę na fakt, że w trakcie prowadzonej akcji, wytyczne prof. Budryka były realizowane ze znacznym opóźnieniem co skutkowało brakiem efektów w opanowaniu pożaru. Przyjmowałem te informacje z zaciekawieniem ale też z pewną rezerwą. Opinia moja w tej sprawie uległa zmianie kilka lat później. W okresie pełnienia funkcji dyrektora kopalni, władze miasta Dąbrowy Górniczej powołały do życia „Komitet Upiększania Miasta”, którego głównym zadaniem było przekształcenie terenów po byłej kopalni „Reden” w park śródmiejski. Zostałem przewodniczącym tego komitetu. Wymieniony teren przez wiele lat stał się składowiskiem odpadów hutniczych, złomu oraz ogólnomiejskim śmietniskiem. W ramach programu rekultywacyjnego przewidziano, między innymi, likwidację znajdującego się na tym terenie szybu zachodniego byłej kopalni „Reden”. Znajdował się on w niewielkiej odległości od skrzyżowania ulic Kościuszki i Sobieskiego. Po wykonaniu otworu w zamykającej go płycie betonowej nie udało się zbadać jego stanu, z uwagi na zupełny brak widoczności spowodowany pełnym zaparowaniem. Gdy przystąpiono do zasypywania szybu gruzem skalnym, okazało się, że po wypełnieniu nim około 15% jego obliczonej pojemności,

zasypywany materiał osiągnął zrąb szybu. Przyczyną tego był pomost drewniany wykonany w szybie w czasie prowadzonej akcji pożarowej. Tak więc potwierdziło się twierdzenie inż. Bieleckiego, że pozorowano prowadzenie akcji przy równoczesnym przygotowywaniu kopalni do jej zamknięcia. Jest rzeczą znaną, że prof. Witold Budryk, do którego Towarzystwo Franko-Polskie zwróciło się o udział, jako specjalisty w prowadzeniu akcji pożarowej, uznał decyzję o zamknięciu kopalni za zbyt pochopną.

Spotkania z Aleksandrem Zawadzki

W dniu 21 października 1945 roku, na cześć ówczesnego wojewody śląsko-dąbrowskiego, dawna kopalnia „Paryż” otrzymała imię Aleksandra Zawadzkiego, który od urodzenia związany był z rejonem Zagłębia Dąbrowskiego i w okresie międzywojennym pracował także w tej kopalni. Aleksander Zawadzki, pełniąc wysokie stanowiska publiczne, utrzymywał z kopalnią stały kontakt interesując się jej działalnością. Gdy rozpoczynałem pracę w tej kopalni, Aleksander Zawadzki pełnił funkcję Przewodniczącego Rady Państwa. Obowiązywał wówczas zwyczaj, że dwukrotnie w ciągu roku do Warszawy udawała się delegacja z kopalni, raz z zaproszeniem na obchody dnia górnika, a drugi raz z życzeniami urodzinowymi (16 grudnia). W jej skład wchodził obok dyrektora kopalni, sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR, przewodniczący Rady Zakładowej, przewodniczący Rady Robotniczej oraz górnik przodowy Władysław Matys. Delegacja była przyjmowana w Belwederze. Atmosfera tych spotkań była bardzo swobodna. Aleksander Zawadzki interesował się sprawami dotyczącymi nie tylko kopalni, ale także warunków życia mieszkańców osiedli przyzakładowych Ksawery i Koszelewa. Byliśmy szczegółowo przepytывani nie tylko o sprawy bieżące ale także o zamierzenia mające na celu poprawę warunków życia mieszkańców tego rejonu. W rozmowach tych Aleksander Zawadzki wracał wspomnieniami do lat swej młodości i trudnych warunków życia w tamtym okresie. O naszych wyjazdach do Warszawy każdorazowo musiały być poinformowane władze polityczne jak też administracyjne, a po powrocie byliśmy zobowiązani do zrelacjonowania przebiegu tych spotkań. Informacje o tych wizytach przyjmowane były bez entuzjazmu, wyczuwało się klimat nieufności bowiem wizyty te odbywały się wyłącznie bez obecności osób z poza kopalni. Wywoływało to czasem wyjątkowo niezręczne dla mnie sytuacje. W czasie jednego z wyjazdów związanego z urodzinami A. Zawadzkiego, delegacja nasza została przed planowaną wizytą w Belwederze zaproszona przez ministra Jana Mitręgę do siedziby ministerstwa w Warszawie. W trakcie tego spotkania minister połączył się

telefonicznie z Aleksandrem Zawadzkim i poinformował go, że jesteśmy w jego gabinecie i zaproponował, że razem z naszą delegacją przybędzie do Belwederu. W odpowiedzi usłyszał aby przybył do Belwederu o innej porze. Sytuacja ta była dla nas wyjątkowo nieprzyjemna. Kuriozalne wręcz wydarzenie miało miejsce nieco później. W czasie naszych spotkań Aleksander Zawadzki mówił, że z uwagi na zbliżające się 60-lecie jego urodzin, chciałby, z tej okazji, przyjechać do Dąbrowy Górniczej i spotkać się z załogą oraz dawnymi działaczami lewicowymi. Gdy zaczął się zbliżać termin urodzin dyrektor gabinetu Aleksandra Zawadzkiego pragnął telefonicznie uzgodnić termin naszego przyjazdu do Warszawy w celu omówienia szczegółów tej wizyty. Poinformowaliśmy o tym naszych przełożonych i oczekiwaliśmy z ich strony na jakieś ustalenia. Odpowiedzi jednak nie było. Dyrektor Nowak nie mogąc doczekać się z naszej strony żadnej odpowiedzi podał nam telefonicznie uzgodniony z Aleksandrem Zawadzkim termin naszej wizyty w Warszawie. Po przekazaniu tej informacji naszym przełożonym, otrzymaliśmy wiadomość, że sekretarz Grudzień nie wyraża zgody na nasz wyjazd do Warszawy i spotkanie z Aleksandrem Zawadzkim. Znalazłem się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Udałem się z wizytą do ministra Mitręgi prosząc o radę co mam w tej sytuacji zrobić? uzyskałem zapewnienie o włączeniu się ministra Mitręgi w rozwiązanie tej absurdalnej, jak stwierdził, sprawy. W dniu poprzedzającym termin wyznaczonej wizyty w Warszawie, około godziny dwudziestej, otrzymaliśmy wiadomość o zgodzie na nasz wyjazd. Do Warszawy jechaliśmy w nocy. W czasie spotkania Aleksander Zawadzki dwukrotnie zadał mi pytanie czy w związku z naszymi spotkaniami w Warszawie nie mam jakiś trudności. Oczywiście temu zaprzeczyłem. Po powrocie z Warszawy zostałem zaproszony na spotkanie z sekretarzem Grudniem gdzie w niezbyt grzecznej formie przekazał mi polecenie dotyczące spodziewanej wizyty Przewodniczącego Rady Państwa w Dąbrowie Górniczej. Spotkanie miało się odbyć nie na kopalni a w Pałacu Kultury. Miały w nim wziąć udział, obok pracowników kopalni także delegacje z innych zakładów pracy oraz przedstawiciele Związku Powstańców Śląskich. należało między innymi wydrukować nowe zaproszenia na tę uroczystość, wymienić dekoracje na scenie sali w Pałacu Kultury oraz pozmieniać cały szereg szczegółów dotyczących programu tej imprezy. Gdy wreszcie doszło do tej uroczystości, atmosfera na sali była wyjątkowo serdeczna. W jej trakcie Aleksander Zawadzki otrzymał tytuł Honorowego Górnika Kopalni oraz galowy mundur górniczy. W spotkaniu tym nie wziął udziału sekretarz Grudzień. Komitet Wojewódzki PZPR reprezentował ówczesny sekretarz Kowalczyk.

Po pewnym czasie dowiedziałem się jaka była przyczyna niezrozumiałej dla mnie fatalnej atmosfery towarzyszącej przygotowaniu tej uroczystości. Jak zwykle jej źródłem były

zakulisowe zawirowania w sferze polityczno-kadrowej, o czym nie mieliśmy pojęcia.

W czasie swych wizyt na Śląsku Aleksander Zawadzki każdorazowo odwiedzał, mieszkających na osiedlu Ksawera w Będzinie, małżeństwo państwa Grzybków. Mówił o nich „wujostwo”. Było to starsze małżeństwo bardzo skromnych ludzi. Odegrali oni istotną rolę w procesie opiekuńczym Aleksandra Zawadzkiego w jego bardzo trudnych, młodzieńczych latach. Byłem świadkiem jednej z takich wizyt. W początkowym okresie maja każdego roku obchodzone jest tradycyjne święto hutnicze „Dzień Hutnika”. W trakcie jednego z takich świąt centralne uroczystości z nim związane zorganizowane były na terenie ówczesnej huty „Feliksa Dzierżyńskiego” (obecnie huta „Bankowa”) w Dąbrowie Górniczej. W uroczystościach tych uczestniczył Przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki. W tym czasie przebywałem w swym gabinecie w budynku dyrekcji kopalni, który znajdował się przy ówczesnej ul. Marchlewskiego. Ulica ta stanowiła granicę między Będzinem i Dąbrową Górniczą. W pewnym momencie moja sekretarka weszła do mojego gabinetu i zakomunikowała mi, że na ulicy, pod budynkiem dyrekcji stoi Aleksander Zawadzki w towarzystwie jednego pana. Była to prawda. Wszedłem z budynku, przywitałem się i usłyszałem „aleś my się im urwali”. Dowiedziałem się, że po zakończeniu uroczystości w hucie Aleksander Zawadzki w towarzystwie swego dyrektora gabinetu Franciszka Nowaka wsiedli do samochodu i szybko wyjechali z terenu huty. Samochód jadąc w kierunku Katowic, zatrzymał się u wylotu ul. Marchlewskiego wysadził pasażerów i zgodnie z otrzymanym poleceniem kontynuował jazdę do Katowic. Za nim ruszyła cała kolumna samochodów z pozostałymi uczestnikami uroczystości. Ulica Marchlewskiego prowadziła do osiedla Ksawera. Aleksander Zawadzki oświadczył, że idzie odwiedzić Grzybków. Razem udaliśmy się w dalszą drogę. W trakcie przechodzenia przez osiedle Ksawera liczni jego mieszkańcy serdecznie witali niespodziewanego gościa. W czasie krótkiego odpoczynku, gdy siedział na ławce przed jednym z budynków i prowadził rozmowy z grupą otaczających go ludzi wypytywał się o zdrowie wywodzących się z tego terenu dawnych współtowarzyszy jego lewicowej działalności. Po wypiciu kubka zsiadłego mleka, którym został poczęstowany – ruszyliśmy w dalszą drogę. Gdy zbliżyliśmy się do domku w którym mieszkali państwo Grzybkowie, ujrzeliśmy wychylające się zza węgła dwie głowy. Aleksander Zawadzki skomentował to stwierdzeniem „już mnie tutaj znaleźli!”

W trakcie spotkań z delegacją kopalni. Aleksander Zawadzki wielokrotnie podejmował temat nazwy kopalni. Uważał, że nazwanie kopalni jego imieniem stawia go w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Wnioskował o podjęcie działań mających na celu zmianę nazwy kopalni. Wyjaśnialiśmy, że jest to praktycznie niemożliwe. Podejmowane na ten temat rozmowy

z przedstawicielami załogi spotkały się z kategorycznym sprzeciwem. Załoga kopalni w pełni akceptowała ówczesną nazwę kopalni bowiem Aleksander Zawadzki cieszył się nie tylko u załogi ale także wśród społeczności Zagłębia autentyczną sympatią.

Moja praca w organach nadzoru górniczego.

Z dniem 1 lutego 1969 roku zostałem przeniesiony do Wyższego Urzędu Górniczego w Katowicach - na stanowisko wiceprezesa.

Moje powołanie na to stanowisko, odbyło się w nieco nietypowych warunkach. W czasie, gdy byłem dyrektorem kopalni „Generał Zawadzki” w Dąbrowie Górniczej, zostałem zaproszony przez prezesa Wyższego Urzędu Górniczego inż. Edmunda Grabowskiego na rozmowę do siedziby WUG. W trakcie tej rozmowy prezes Grabowski poinformował mnie, że dotychczasowy wiceprezes WUG mgr inż. Włodzimierz Lejczak zostaje przeniesiony na stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego i w związku z tym, jak oświadczył prezes Grabowski, wystąpił on o powołanie na to stanowisko nowego kandydata podając w swych propozycjach trzech kandydatów, w tym moją osobę. Prosił jednocześnie by treść naszej rozmowy zachować, jako poufną i abym w przypadku zaproszenia mnie na rozmowę kwalifikacyjną wyraził zgodę na to powołanie. Zgodnie z tą informacją oczekiwałem na wezwanie mnie na taką rozmowę. Do takiej jednak rozmowy nie doszło, natomiast było dla mnie zupełnym zaskoczeniem to, że po upływie kilku dni prezes Grabowski złożył mi telefonicznie gratulacje i oświadczył, że ma przed sobą powołanie przez Premiera mojej osoby na stanowisko wiceprezesa Wyższego Urzędu Górniczego. Okres współpracy z prezesem Grabowskim wspominam bardzo mile. Podziwiałem jego fachowość, osobistą kulturę i bezprzykładne oddanie sprawom górnictwa, szczególnie problemom bezpieczeństwa pracy w tej gałęzi przemysłu. Praca w Wyższym Urzędzie Górniczym tworzyła warunki do poszerzenia mej wiedzy zawodowej. Niezwykle istotną była możliwość poznania problematyki innych obszarów całego polskiego górnictwa i zagadnień związanych z jego rozwojem. Uczestnicząc bezpośrednio w większości wydarzeń mających miejsce w tym okresie w przemyśle wydobywczym brałem udział w wielu akcjach ratowniczych. Szczególnym przeżyciem była dla mnie akcja ratownicza w kopalni „Generał Zawadzki” – kopalni, w której przez 13 lat pełniłem początkowo funkcję zastępcy a następnie kierownika ruchu zakładu górniczego.

W dniu 24 lipca 1969 roku z osadnika powierzchniowego „Jadwiga II” wdarło się nagle do wyrobisk dołowych około 90 tys. m³ wody z miałem węglowym. Ta mieszanina spłynęła przekopem wentylacyjnym i wyrobiskami oddziału III w kierunku głównych szybów „Generał Zawadzki” i „Cieszkowski” powodując liczne zawały wyrobisk. Stacja pomp głównego odwadniania została zatopiona, a rejon centralny i wschodni kopalni zostały pozbawione dopływu energii elektrycznej. Na skutek unieruchomienia głównych urządzeń

wyciągowych zjazd do kopalni mógł się odbywać wyłącznie przez szyby peryferyjne „Walery” i „Małobądz” a także przez będący w rekonstrukcji szyb „Koszelew”. W tej sytuacji prowadzenie akcji ratowniczej było niezwykle utrudnione. W pierwszym okresie na 119 górników pracujących w rejonie oddziału III brak było kontaktu z 82. Jak się później okazało, jeden z nich poniósł śmierć, a do dalszych dwóch dotarto stosunkowo szybko, natomiast pozostała 79 osobowa grupa została odcięta w wyniku powstałych zawałów. Po pewnym okresie czasu udało się z tą grupą nawiązać kontakt głosowy. Sytuacja była niezwykle trudna, bowiem w rejonie gdzie znajdowali się odcięci górnicy, na skutek zaburzeń wentylacyjnych oraz sąsiedztwa zrobów byłej kopalni „Reden” zaczęło narastać stężenie dwutlenku węgla. Celem dotarcia do poszkodowanych podjęto drażnienie chodnika ratunkowego, równoległego do zarabowanej pochylni 33, przystąpiono także do wiercenia otworów z powierzchni ziemi. Akcja prowadzona była w niezwykle trudnych warunkach, przy braku energii elektrycznej. Wszelkie prace wykonywane były ręcznie. Wydarzenie to miało miejsce w trakcie pierwszej zmiany. W czasie tym przebywałem na kopalni „Rozbark” zawiadomiony o tym wypadku niezwłocznie udałem się na kopalnię „Generał Zawadzki” gdzie nawiązałem kontakt z kierującym akcją ratowniczą ówczesnym dyrektorem kopalni inż. Andrzejem Groyeckim. Na terenie kopalni przebywałem bez przerwy do czasu wyprowadzenia ze strefy zagrożenia odciętych górników, czyli do 27 lipca. W ostatnim dniu akcji (była to niedziela) zjechałem na dół do bazy ratowniczej i byłem tam do momentu uwolnienia odciętych górników. Wyrażano przekonanie, że moja obecność na miejscu akcji w kontakcie z biorącymi w niej udział pracownikami kopalni, z którymi współpracowałem przez okres kilkunastu lat zwiększy intensywność prowadzonych przez ratowniczych.

Było to zbędne, gdyż zaangażowanie i ofiarność ekip ratowniczych zasługiwały na najwyższe słowa uznania, a akcją na dole kierował w sposób profesjonalny inż. Adrian Jasiak. W grupie odciętych górników znajdowały się cztery osoby dozoru i wyposażony w aparaty zastęp ratowników, którzy przed wypadkiem wykonywali w tym rejonie prace. Wśród osób dozoru najstarszy rangą był sztygar oddziałowy Błażejewski, jednak faktyczne obowiązki kierowania tą grupą ludzi objął Roman Wilk, osoba dozoru niższego w oddziale wentylacji. Wykazał się być osobą najbardziej odporną psychicznie i jako wieloletni ratownik górniczy posiadający szeroką, praktyczną wiedzę. To on praktycznie kierował grupą odciętych górników, oddziaływując na ich psychikę i zachowanie oraz wyszukiwał miejsca o najniższym stężeniu CO₂. Kiedy w niedzielę w godzinach popołudniowych, po ponad 72 godzinach akcji dotarto do odciętych, wychodzili oni, przy pomocy ratowników z Centralnej Stacji Ratownictwa, według kolejności ustalonej przez Romana Wilka. On sam wyszedł, jako ostatni i na moje

ręce złożył meldunek o wyprowadzeniu grupy. Gdy po latach wspominam tę sytuację mam poczucie pełnej satysfakcji. Roman Wilk pracował na kopalni, jako górnik, głównie przy drążeniu wyrobisk chodnikowych. Osiągał zawsze znakomite wyniki. Był jednocześnie doświadczonym ratownikiem, brał udział w licznych akcjach ratowniczych także na innych kopalniach. Widząc jego doświadczenie i autorytet, jakim cieszył się wśród załogi postanowiłem oddelegować go na kilkumiesięczny kurs dla niższego dozoru górniczego. Szkolenie odbywało się w Bytomiu. Po początkowych oporach ze strony zainteresowanego przeszedł on to szkolenie i jako osoba dozoru skierowany został do oddziału wentylacji. Jak wykazało życie, decyzja ta była słuszna, czego potwierdzeniem była postawa i działanie ze strony Romana Wilka w czasie tej bardzo trudnej akcji. Okazał się on być niezwykle ciekawą osobowością.

Po złożeniu mi na dole meldunku o wyprowadzeniu grupy z rejonu zagrożenia zaproponował, aby przydzielić mu zastęp ratowników na cele, którego chciał wrócić do zagrożonego rejonu i zabrać stamtąd pozostawione aparaty ratownicze oraz metanomierz. Oczywiście spotkało się to z moją odmową. Stan fizyczny a szczególnie psychiczny wyprowadzonych z zagrożonej strefy górników był bardzo różny. Kierownictwo akcji zakładało, że ewakuowani winni być kładzeni na przygotowanych noszach, poddani konsultacji medycznej i otrzymać, w razie potrzeby, odpowiednie środki medyczne. Przewidziano także, dla rozładowania stresu, ewentualne podanie pewnych ilości alkoholu. Część wyprowadzonych nie chciała się kłaść na noszach i pragnąc jak najszybciej wyjechać z dołu kierowała się w kierunku szybu „Koszelew”. Gdy chodziłem wśród leżących na noszach jeden z nich, widząc mnie odezwał się mówiąc: „Szczęść Boże panie dyrektorze, co u pana słyhać?” Było to dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Zapytałem się leżącego jak się czuje. Odpowiedział, że dobrze, ale jednocześnie poskarżył się, że podający alkohol stale go pomijają. Po przywołaniu osoby dysponującej alkoholem usłyszałem, że skarżący się otrzymał go już dwukrotnie. Miały, więc miejsce i takie humorystyczne sytuacje. Gdy znalazłem się z Romanem Wilkiem na podszybiu szybu „Koszelew” oczekiwaliśmy przez dłuższy okres czasu na wyjazd na powierzchnię. Z uwagi na przeprowadzoną rekonstrukcję tego szybu, funkcjonował w nim jedynie wyciąg kubłowy, w którym mieściło się trzech ludzi. W pierwszej kolejności transportowani byli na powierzchnię uwolnieni górnicy. W zależności od ich stanu fizycznego wyjeżdżali w kuble na powierzchnię po dwie osoby w towarzystwie jednego pracownika oddziału szybowego, zaś, gdy ich stan fizyczny był słaby, wyjeżdżali pojedynczo w towarzystwie dwóch pracowników oddziału szybowego. Poza poszkodowanymi kolejno wyjeżdżali na powierzchnię pracownicy służb medycznych, oraz pozostali biorący udział

w akcji ratowniczej. Gdy namawiałem siedzącego ze mną Romana Wilka, aby jako jeden z ewakuowanych, wyjechał z dołu, odpowiedział, że mu tego zrobić nie wypada i wraz ze mną będzie czekał na końcowy okres wyjazdu. Po kilku godzinach oczekiwania, gdy wyjechaliśmy na powierzchnię, było już ciemno. W trakcie rozmowy z Romanem Wilkiem zapytałem go, w jaki sposób, przy braku urządzeń pomiarowych, określał miejsca dla grupy odciętych, gdzie stężenie dwutlenku węgla było najmniejsze. Odpowiedź była dla mnie zupełnie zaskakująca. Powiedział on, że obchodził wyrobiska z założonym aparatem ratowniczym i uchylając okresowo maskę, na podstawie oceny kwaśności śliny oceniał w przybliżeniu zawartość CO₂. O takiej metodzie nie słyszałem ani w czasie studiów ani też przy studiowaniu fachowej literatury. W okresie mej pracy zawodowej uczestniczyłem w wielu akcjach ratowniczych, uważam jednak, że akcja w kopalni „Generał Zawadzki” charakteryzowała się najbardziej dramatycznym przebiegiem.

Przejsie do pracy w Ministerstwie Górnictwa.

We wrześniu 1974 roku zostałem zaproszony na rozmowę do ówczesnego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach Zdzisława Grudnia. W czasie tej wizyty zostałem poinformowany, że w kierownictwie resortu górnictwa mają nastąpić zmiany personalne w ramach, których ma być odwołany dotychczasowy minister Jan Mitręga, a jego miejsce ma zająć Jan Kulpiński. Mają też być dokonane zmiany personalne w kierownictwie resortu. Zdzisław Grudzień poinformował mnie, że w ramach tych zmian przewidziane jest moje przeniesienie do ministerstwa gdzie mam objąć stanowisko generalnego dyrektora. Zostałem zapytany czy wyrażam na to zgodę. Odpowiedziałem, że skoro są takie ustalenia to wypada mi się tym decyzjom podporządkować. Zostałem jednocześnie poinformowany, że w godzinach popołudniowych w Wojewódzkiej Szkole Partyjnej PZPR przy ul. Koniewa odbędzie się spotkanie kadry górniczej, w którym powinienem wziąć udział. W trakcie tego spotkania, w którym uczestniczyło kilkaset osób, premier Piotr Jaroszewicz powiedział o zmianach na stanowisku ministra górnictwa i przedstawił Jana Kulpińskiego, jako następcę Jana Mitręgi. W trakcie tej narady zostałem poinformowany, że po jej zakończeniu mam udać się do sali kolegalnej w Ministerstwie Górnictwa. Tam spotkali się nowo powołani i odwoływani członkowie kierownictwa resortu górnictwa. Przybyły premier Jaroszewicz wręczył zebrany akt powołania względnie odwołania. Gdy otrzymałem dokument powołujący mnie na stanowisko generalnego dyrektora pomyślałem, że był on już chyba gotowy w momencie, gdy sekretarz Grudzień pytał mnie czy wyrażam zgodę na objęcie tego

stanowiska. Po tym spotkaniu nowo powołany minister Kulpiński zebrał nowych członków kierownictwa resortu ustalając wstępnie podział ich kompetencji oraz rozdział pomieszczeń biurowych. Przydzielono mi gabinet zajmowany uprzednio przez generalnego dyrektora Jana Suchorończaka. Do domu wróciłem około godziny 22⁰⁰ ze świadomością, że pracę na nowym miejscu mam rozpocząć następnego dnia rano. Wiedziałem jednocześnie, że w moim poprzednim biurze w Wyższym Urzędzie Górniczym pozostawiłem niezamknięte szafy i rozłożone na biurku dokumenty.

Pełniąc obowiązki generalnego dyrektora a następnie wiceministra objąłem także funkcję przewodniczącego polskiej dwustronnej polsko-czechosłowackiej komisji do spraw współpracy w zakresie górnictwa. Moim partnerem ze strony czechosłowackiej był początkowo generalny dyrektor ostrawsko-karwińskiego zjednoczenia węglowego pan Chrust, a potem jego następca Rudolf Ottawa. Spotkania grup ekspertów odbywały się corocznie, przemiennie raz w Czechosłowacji, a następnie w Polsce. Tematem posiedzeń było ustalanie różnych programów współpracy naukowo-technicznej, wymiany delegacji, wzajemnych dostaw maszyn i urządzeń górniczych oraz problemów związanych z eksploatacją węgla w rejonie przygranicznym. Ten ostatni temat był przedmiotem sporów z uwagi na różnorodność prezentowanych opinii. Należy przypomnieć, że na przełomie lat 50 i 60-tych ówczesny rząd Czechosłowacji wystąpił do rządu polskiego z wnioskiem o wyrażenie zgody na zbadanie przebiegu uskoku cieszyńskiego, który miał przebiegać w osi rzeki Olzy. Zbadanie tego uskoku, jak argumentowała strona czechosłowacka, pozwolić miało w przyszłości na uściślenie problemów eksploatacji w rejonie przygranicznym. Chodniki badawcze (cztery) miały być prowadzone od strony kopalń „ČSM”. Mimo ponawianych wielokrotnie próśb o przekazanie stronie polskiej wyników prowadzonych robót górniczych, względnie umożliwienia naszym przedstawicielom wizytacji tych robót, stale odmawiano nam spełnienia naszej prośby motywując to bądź zatopieniem tych chodników, bądź też koniecznością ich otamowania na skutek trudności wentylacyjnych. Podstawowym jednak problemem spornym, który poruszany był na kolejnych posiedzeniach komisji była kwestia założeń eksploatacji w rejonie granicy państwowej. Stanowisko strony polskiej zakładało, że każda ze stron przy zbliżaniu się z eksploatacją do granicy państwa winna pozostawić po swej stronie 50% wymaganego przepisami filara granicznego. Stanowisko strony czechosłowackiej było skrajnie odmienne. Uważano, że strona, która pierwsza dochodzi do granicy państwa, ma prawo wyeksploatować węgiel do samej granicy, zaś strona, która osiąga granicę w terminie późniejszym ma obowiązek pozostawienia po swojej stronie pełnego filara granicznego. Każda ze stron pozostawała przy swojej interpretacji. Jednocześnie wg

informacji uzyskiwanych drogą nieoficjalną, po stronie kopalni „ČSM” dokonywano rozczinki pokładu, przygotowując kolejne parcele do eksploatacji. Wobec obawy stosowania przez partnera czeskosłowackiego polityki faktów dokonanych, o czym poinformowałem kierownictwo resortu po kolejnym posiedzeniu komisji dwustronnej została podjęta decyzja o budowie kopalni „Morcinek”, która miała stanowić naturalną zaporę, przeciwko ekspansji, ze strony kopalni „ČSM”. Budowę tej kopalni, wobec niedostatku środków finansowych postanowiono realizować w 2 etapach. Do realizacji 2 etapu nigdy nie przystąpiono. W grudniu 1997 roku kopalnia „Morcinek” uzyskała z 4 czynnych ścian średniodobowe wydobyte w wysokości 4650 ton, a więc znacznie niższe od docelowego tj. 12000 ton/dobę. W tej sytuacji decyzja o likwidacji tej kopalni była pociągnięciem kuriozalnym i przykładem tendencyjnego nadużycia. Decydenci nie uwzględnili zastrzeżeń ze strony górniczych środowisk naukowych, że likwidacja kopalń posiadających znaczne zasoby węgla jest gospodarczo nieuzasadnione i winna być zastąpiona tzw. „uśpieniem” zakładów górniczych tzn. zaniechaniem produkcji do czasu zmiany koniunktury na węgiel i wznowienia w nich wydobywania. Kopalnia „Morcinek” została zlikwidowana z naruszeniem elementarnych zasad techniki. Jej infrastruktura techniczna o wartości wieluset milionów złotych została zniszczona w sposób barbarzyński, głównie przy użyciu materiałów wybuchowych, zaś naczynie wyciągowe puszczono luzem do szybu przez odcięcie lin nośnych. Jest to jeden z przykładów zmarnotrawienia setek milionów publicznych pieniędzy.

W roku 1975 została podjęta decyzja o zasadności opracowania perspektywicznego, kompleksowego programu rozwoju polskiego górnictwa węgla kamiennego w Polsce. Według wstępnych założeń opracowanie to miało być rozpatrywane przez Radę Ministrów a także Biuro Polityczne KC PZPR. Otrzymawszy to zadanie minister Kulpiński powołał kilkanaście zespołów roboczych dla opracowania poszczególnych elementów tego programu. Opracowania te opracowywane przez różne zespoły różniły się jednak formą redakcyjną. W związku z tym, dla ujednoczenia formy opracowania, bez jego merytorycznej korekty, zadanie to powierzono mojej osobie oraz ówczesnemu sekretarzowi KW PZPR nadzorującemu górnictwo Wiesławowi Kiczonowi. Prace te kontynuowane były także w 1976 roku. Jednym z elementów opracowania był rozdział prezentujący warianty organizacji pracy. Analizie był poddany między innymi, również wariant szeroko dyskutowanego wówczas systemu czterobrygadowego. W roku 1976 na stanowisko prezesa WUG został powołany inż. Włodzimierz Lejczak. Powszechnie wiadomym było, że jest to dla niego zajęcie przejściowe, bowiem według kularowych wieści był on przewidziany do objęcia stanowiska ministra górnictwa po Janie Kulpińskim. Wykazywał on od początku żywe zainteresowanie pracami

nad opracowywanym perspektywicznym programem rozwoju górnictwa węgla kamiennego. Szczególne zainteresowanie okazywał możliwościami wprowadzenia systemu czterobrygadowego w górnictwie węgla kamiennego, gdyż jak wiadomo, miał doświadczenia z jego wdrożenia w górnictwie miedziowym.

Pytany czy w opracowaniu przewidziano możliwość wprowadzenia czterobrygadowego systemu organizacji pracy w kopalniach węgla kamiennego, powiedziałem, że analizowano taką możliwość ale uznano, że w obecnych warunkach jest to mało realne. Porównywanie sytuacji kopalń miedzi z kopalniami węgla kamiennego jest nieporozumieniem gdyż w kopalniach miedzi występują znaczne rezerwy w zdolności wydobywczej szybów, a system eksploatacji pozwala na to, by w przypadku postoju szybów, wydobywczych, praca przodków eksploatacyjnych była kontynuowana, a urobek lokowany poza przodkiem. Po uruchomieniu szybów pozwala to na wydobywanie urobku z bieżącej produkcji oraz z odłożonych zapasów. W kopalniach węgla sytuacja jest diametralnie inna. Zdolność wydobywcza szybów jest wykorzystywana w sposób maksymalny i przy braku możliwości buforowania węgla (brak zbiorników) postój szybów po stosunkowo krótkim czasie powoduje wstrzymanie pracy przodków eksploatacyjnych bez możliwości odrobienia występujących strat. Ponieważ byłem z prezesem Lejczakiem w koleżeńskich stosunkach (zwracaliśmy się do siebie po imieniu) radziłem mu po przyjacielsku co, zdaniem moim, powinien zrobić jako przyszły minister górnictwa (przeciwko temu stwierdzeniu zaprotestował). Sugerowałem by wychodząc z koncepcją wprowadzenia czterobrygadowego systemu pracy w górnictwie węglowym realizował te działania etapowo. Aby biorąc pod uwagę realną sytuację tej branży zaproponował by w pierwszej kolejności wszystkie nowobudowane kopalnie były projektowane pod system czterobrygadowy (zbiorniki buforowe dołowe i powierzchniowe). Zaś w drugim etapie kopalnia rekonstruowane byłyby dostosowywane do tego systemu. Stare kopalnie ze względów technicznych nie powinny być tym programem objęte. Kolejną barierą była przewidywana trudność w zwiększaniu zatrudnienia dodatkowej ilości pracowników co było niezbędne przy wprowadzaniu systemu czterobrygadowego. Według analizy zespołu niezbędny wzrost zatrudnienia winien wynosić około 55 tysięcy pracowników. Prezes Lejczak stwierdził, że według jego wyliczeń nie powinien przekraczać wielkości 15 tysięcy. Reperkusje tego spotkania miały miejsce kilka miesięcy później. Zgodnie z pogłoskami, w 1977 roku nastąpiła zmiana na stanowisku ministra górnictwa. Dotychczasowy prezes WUG Włodzimierz Lejczak zastąpił na tym stanowisku Jana Kulpińskiego. Oceniając okres mojej współpracy z ustępującym ministrem mogę stwierdzić, że był on doświadczonym inżynierem, raziła mnie u niego jednak wyjątkowa brutalność w traktowaniu podległych mu

pracowników. Z objęciem pełnienia funkcji ministra górnictwa przez mgr inż. Włodzimierza Lejczaka wiąże się cały szereg istotnych wydarzeń w działalności resortu. W okresie tym, między innymi, sfinalizowano zakup i uruchomiono pracę platformy wiertniczej na Bałtyku w ramach organizacji „Petrobaltic”, nad działalnością której sprawowało nadzór ministerstwo górnictwa. Ponadto, mimo zgłaszanych licznych zastrzeżeń, zaczęto wdrażać w niektórych kopalniach czterobrygadowy system pracy. Spotkało się to z negatywnym odbiorem ze strony załóg górniczych.

Pewnego dnia zostałem zaproszony na rozmowę do ówczesnego sekretarza KWPZPR Zdzisława Grudnia. Wypytywał mnie głównie o szczegóły dotyczące opracowanego programu rozwoju górnictwa węgla kamiennego. Przy okazji prosząc o zachowanie tego dla mojej wyłącznej wiadomości, powiedział, że minister Lejczak wystąpił z wnioskiem o moje odwołanie ze stanowiska, gdyż jak oświadczył, nie daje gwarancji realizacji jego polityki. Propozycja ta, jak usłyszałem, została uznana za śmieszna i spotkała się ze zdecydowaną odmową. Przypuszczam, że było to efektem rozmowy jaką przeprowadziłem kilka miesięcy temu z ministrem Lejczakiem, będącym wówczas prezesem WUG. Po pewnym czasie temat ten podjąłem w trakcie osobistej rozmowy z ministrem. Zwróciłem mu uwagę, że jeżeli ma zastrzeżenia do mej pracy winien powiedzieć mi to bezpośrednio a nie za moimi plecami. Zaprzeczył, że kiedykolwiek z takim wnioskiem występował i to co słyszałem jest ewidentną nieprawdą. Przyjąłem to do wiadomości i zrezygnowałem jednocześnie z wyjaśnienia kto kłamał, a kto mówił prawdę.

Niezwykle istotną sprawą był w tym okresie temat budowy w Polsce zakładu zgazowania węgla i związanej z tym produkcji metanolu. Nie znam szczegółów dotyczących okoliczności podjęcia tej decyzji, wiedziałem tylko, że Niemiecka Republika Federalna gotowa była udzielić Polsce kredytu na sfinansowanie tej poważnej inwestycji w wysokości 2 miliardów marek, zaś kredyt ten miał być spłacany dostawami metanolu. Po dokonaniu wstępnych analiz ustalono, że do tego celu najbardziej kwalifikuje się węgiel wydobywany w kopalni „Janina” i tam też zakładano lokalizację tego zakładu. Sprawa prowadzona była dwutorowo – przez resort górnictwa jako przyszłego dostawcę surowca oraz resort chemii, z uwagi na to że efektem zgazowania jest gaz syntezowy (z dużą zawartością tlenu węgla), który przez resort chemii byłby przetwarzany na metanol. Zakładano, że chemiczna przeróbka będzie miała miejsce w Oświęcimskich Zakładach Chemicznych.

W owym czasie, w świecie znane i stosowane były na skalę przemysłową dwie metody zgazowania węgla – metoda Lurgi i metoda Koppers-Totzek. Resort górnictwa wychodził z założenia, że metoda Koppers-Totzek jest korzystniejsza ze względów technicznych, bowiem

procesowi zgazowania poddawane są też najdrobniejsze frakcje węgla, natomiast przy metodzie Lurgi procesowi zgazowania poddaje się węgiel o minimalnej granulacji 4-5 mm. Wymagało by to wstępnego odsiewania najdrobniejszych frakcji węgla, co przy dużym jego zawilgoceniu byłoby dodatkowym utrudnieniem i wymagało ewentualnego stosowania sił podgrzewanych. Ponadto odsiana frakcja 0-5 mm byłaby trudna do zagospodarowania z uwagi na bardzo wysoką zawartość siarki. W trakcie toczącej się na ten temat dyskusji międzyresortowej pojawiła się nowa koncepcja dotycząca tej sprawy. Przeprowadzone analizy ekonomiczne wykazały, że budowa dużego zakładu zgazowania i założenia spłaty kredytu dostarczanym metanolem byłaby nieracjonalna.

Chcąc jednak nadal uzyskać od strony niemieckiej kredyt w wysokości 2 miliardów marek, postanowiono zmienić pierwotną propozycję i zaproponować by w jego ramach wybudować mały zakład produkcyjno-badawczy zgazowania węgla a resztę środków przeznaczyć na modernizację przemysłu węglowego. W nowej wersji kredyt miał być spłacany eksportem węgla. Zakładano, że koszty budowy tego małego zakładu produkcyjno-badawczego miały wynieść około 200 milionów marek. Tę nową propozycję zamierzano przedstawić stronie niemieckiej. Gdy towarzyszyłem brytyjskiej delegacji Państwowego Zarządu Węglowego, która pod przewodnictwem wiceprezesa tej instytucji pana Johna Millsa przebywała w Polsce, znajdowałem się w tym czasie w Szczyrku. Wieczorem, w czasie uroczystości związanej z podpisaniem porozumienia w współpracy w zakresie górnictwa, zostałem wezwany do telefonu i poinformowany, że o godzinie dziewiątej rano, następnego dnia mam zgłosić się w gabinecie wicepremiera Szydłaka w związku z wyjazdem do Niemiec. Musiałem przeprosić angielskich partnerów i w nocy dojechać do Warszawy nie wiedząc, jaki jest cel wyjazdu i jak długo ma on trwać. Na odprawie u wicepremiera Szydłaka dowiedziałem się, że mam uczestniczyć w delegacji, która udaje się do Niemiec, pod przewodnictwem ówczesnego ministra przemysłu chemicznego Jerzego Olszewskiego. Celem tej wizyty było przedstawienie stronie niemieckiej nowej propozycji wykorzystania kredytu na zgazowanie węgla. W skład kilkusobowej delegacji wchodził, między innymi, przedstawiciel ministerstwa finansów, ministerstwa handlu zagranicznego oraz prezes Banku Handlowego. Włączenie mojej osoby w skład delegacji wynikało z faktu, że zasadnicza część kredytu miała być przeznaczona na modernizację przemysłu węglowego i w przypadku pytań ze strony niemieckiej, jakiego rodzaju zakupy mogłyby być w tym obszarze realizowane – miałem udzielić stosownych wyjaśnień. Po wylocie do Kolonii specjalnym samolotem i zakwaterowaniu w hotelu, zostaliśmy przy eskorcie policji niezwłocznie przewiezieni samochodami do Frankfurtu na spotkanie z ówczesnym prezesem Banku Drezdeńskiego

panem Friedriksem (byłym ministrem gospodarki RFN) gdzie minister Olszewski przedstawił nasze propozycje. Zostały one przyjęte ze zrozumieniem z tym zastrzeżeniem, że wymagają one konsultacji z innymi bankami. W następnym dniu w godzinach rannych odbyły się rozmowy w siedzibie ministerstwa gospodarki gdzie również dowiedzieliśmy się, że ministerstwo to będzie popierało tą propozycję, ale odpowiedzi możemy oczekiwać po niezbędnych konsultacjach z bankami niemieckimi. Po stosunkowo krótkim czasie Niemcy zawiadomili stronę polską o wyrażeniu zgody na nasze nowe propozycje. Nie wiem, kto prowadził negocjacje związane z zawarciem kontraktu dotyczącego tej pożyczki, bowiem znalazły się w nim dwa niezbyt fortunne dla naszej strony warunki jej realizacji. Określały one, że kredyt ten winien być wykorzystany w stosunkowo krótkim czasie a ponadto, że realizowane w jego ramach zakupy winny mieć miejsce wyłącznie za pośrednictwem firm niemieckich. Krótki okres czasu powodował w pewnych przypadkach brak możliwości dogłębnej analizy poprzedzającej decyzje dotyczące zamierzonych zakupów, co skutkowało niejednokrotnie nie w pełni trafnymi rozwiązaniami. Warunek zakupów wyłącznie poprzez firmy niemieckie powodował, że nabycie maszyn czy urządzeń produkowanych w innych krajach musiało być wykonywane przy pośrednictwie firm niemieckich, co miało bezpośredni wpływ na koszty tych operacji. W ramach otrzymanego kredytu dokonano, między innymi, zakupu kompletnej instalacji do produkcyjno-badawczego zakładu zgazowania bazującego na technologii Kopper-Totzek, wielkogabarytowych maszyn górniczych dla odkrywkowej kopalni węgla brunatnego „Bełchatów”, oraz szeregu urządzeń i maszyn dla potrzeb Polskich Kolei Państwowych. Podstawowa wielkość środków została zaangażowana w zakup maszyn i urządzeń dla górnictwa węgla kamiennego. Dotyczyły one głównie kompleksów ścianowych różnych typów, gdyż w tym czasie krajowi producenci tych urządzeń o takim standardzie technicznym, nie byli w stanie ich oferować. Gdy zakupione wyposażenie zakładu zgazowania węgla znalazło się w kopalni „Janina”, kierownictwo resortu chemii wyraziło brak zainteresowania tematem produkcji metanolu. Było to stanowisko zaskakujące, bowiem w tej sytuacji zakupiona instalacja zgazowania węgla stała się bezużyteczna. Została ona w efekcie w większości wyłomowana. Szokującą odpowiedź na przyczyny tej kuriozalnej decyzji usłyszałem z ust wysokiego rangą pracownika resortu chemii (który prosił mnie o absolutną anonimowość), że jej źródłem były prawdopodobnie wcześniejsze zobowiązania ministra Olszewskiego w stosunku do kierownictwa firmy Lurgi do tego że budowa instalacji zgazowania węgla w Polsce będzie oparta na technologii tej firmy. Jak stwierdził mój rozmówca, minister Olszewski w okresie powojennym był dyrektorem Oświęcimskich Zakładów Chemicznych. W okresie tym utrzymywał kontakty

towarzystwo-zawodowe z byłym niemieckim dyrektorem tych zakładów, który piastował to stanowisko w okresie wojny. Po wojnie ten były dyrektor niemiecki objął stanowisko prezesa firmy Lurgi. Przypuszczać należy, że w czasie tych towarzyskich spotkań padła obietnica, że przy zakupie technologii zgazowania węgla w naszym kraju proces ten oparty będzie o rozwiązania firmy Lurgi. Na przeszkodzie w realizacji tego zobowiązania stanęła decyzja o zakupie instalacji Koppers-Totzek. Tym należy tłumaczyć reakcję ministra Olszewskiego. Historia całej tej sprawy świadczy o braku spójności w prowadzeniu polityki gospodarczej kraju. Jest również kolejnym przykładem marnotrawienia znacznych środków finansowych.

Porozumienie Jastrzębskie

W roku 1980 zaczęły nasilać się w kraju zjawiska radykalizacji nastrojów społecznych. Ich wynikiem były, między innymi liczne strajki. W lipcu 1980 r. strajkowało w kraju 177 przedsiębiorstw. Miały one różne podłoże, ale w każdym przypadku wywierały negatywny wpływ na stan i tak już niezwykle trudnej sytuacji gospodarczej kraju. W drugiej połowie sierpnia 1980 r. do akcji strajkowej zaczęły przystępować niektóre kopalnie. W nocy z 28 na 29 sierpnia do strajku przystąpiła załoga kopalni „Manifest Lipcowy” (obecnie kopalnia „Zofiówka”) oraz załogi kilku sąsiadujących z nią kopalń. Na terenie kopalni „Manifest Lipcowy” znalazł siedzibę utworzony Międzyzakładowy Komitet Strajkowy na czele którego stanął Jarosław Sienkiewicz. Jak wiadomo, w dniu 3 września 1980 roku zostało podpisane tzw. „Porozumienie Jastrzębskie”. Warto jednak, z perspektywy czasu, przypomnieć o niektórych okolicznościach towarzyszących przygotowaniu tego dokumentu i sytuacjach towarzyszących temu wydarzeniu. W początkowym okresie strajku próbę podjęcia rozmów z nowo powołanym Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym podjął ówczesny sekretarz KW PZPR w Katowicach, zajmujący się problematyką górnictwa węglowego, Wiesław Kiczan. Próby te zakończyły się niepowodzeniem, bowiem strajkujący oświadczyli, że chcą prowadzić rozmowy z przedstawicielami rządowymi. Na kopalnię „Manifest Lipcowy” udał się wówczas, ówczesny podsekretarz stanu - I zastępca ministra dr inż. Mieczysław Głanowski i ja, jako osoba mu towarzysząca. Po przybyciu na kopalnię, przystąpiono do dyskusji na temat postulatów przedłożonych przez komitet strajkowy. Spotkanie odbywało się w obiekcie położonym na terenie kopalni. Prawdopodobnie, według przygotowanego wcześniej scenariusza, kierownictwo komitetu strajkowego w osobach panów Jarosława Sienkiewicza, Tadeusza Jedynaka oraz Stefana Palki zajęło miejsca pod ścianą. Przed nimi znajdował się stół, zaś z drugiej jego strony, odwróceniem plecami do sali, zajęli miejsca członkowie tzw. „grupy rządowej” reprezentowanej przez wiceministra Mieczysława Głanowskiego, moją osobę, ówczesnego kierownika Wydziału Węglowego KW PZPR w Katowicach Edwarda Puszczewicza oraz przedstawicieli władz terenowych. Za naszymi plecami na sali usiadło ponad stu członków załogi. Tworzyło to specyficzną atmosferę. Gdy w czasie dyskusji padały stwierdzenia nie przypadające do gustu zgromadzonym na sali, powstawała wrzawa a pod naszym adresem kierowano niezbyt cenzuralne epitety. Odwróceniem do sali plecami nie mogliśmy zobaczyć ich autorów. Prawdopodobnie chciano w ten sposób, poprzez wytworzenie specyficznego klimatu wpływać na „zmiękczenie” naszego stanowiska w trakcie prowadzonych rozmów. W czasie

gdy na sali toczona była dyskusja na temat postulatów, w niewielkiej odległości od kopalni, na plebanii kościoła „Na Górze” u proboszcza Bernarda Czerneckiego, mieli swoją siedzibę doradcy i tzw. „obserwatorzy” komitetu strajkowego rekrutujący się głównie z emisariuszy przysłanych z Warszawy. Strajkujący od samego początku stawiali warunek od którego uzależniali zawarcie porozumienia. Domagali się aby w radiowych wiadomościach ogólnopolskich została podana informacja, że na terenie kopalni „Manifest Lipcowy” ma siedzibę powołany Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który prowadzi negocjacje z delegacją rządową na temat górniczych postulatów wysuniętych przez jastrzębskie kopalnie. O warunku tym informowaliśmy ministra górnictwa Włodzimierza Lejczaka, który oświadczył nam, że uzyskał zapewnienie sekretarza KW PZPR Zdzisława Grudnia, że postulat ten zostanie spełniony. W podanym nam terminie, po wysłuchaniu w programie radiowym wiadomości ogólnopolskich i następnie prognozie pogody, przy zmienionym głosie lektora, podano wiadomość o powołaniu tego komitetu. Ta naiwna i wręcz głupia improwizacja wywołała zrozumiałą, negatywną reakcję strajkujących. Mimo tego wydarzenia, po pewnym czasie przystąpiono ponownie do kontynuowania rozmów. Obrady były okresowo przerywane. Prawdopodobnie prowadzący rozmowy przedstawiciele komitetu strajkowego pragnęli je wykorzystać na konsultacje z przebywającymi na plebanii „ekspertami”. Przerwy te następowały jednak nie w wyniku dwustronnych decyzji, lecz w następstwie zaskakujących informacji. Przykładowo, pan Palka opuszczał okresowo salę obrad, a po powrocie, chwając się na nogach, w wyniku udawanego wzburzenia, wołał: „koledzy zdrada! otrzymałem informację, że przed chwilą bezpieka przeprowadziła w moim mieszkaniu rewizję!” W wyniku powstałego powszechnego tumultu zapadała decyzja o przerwaniu spotkania. W trakcie przerwy udawaliśmy się do biura dyrektora kopalni. Pokonując drogę do tego budynku przechodziliśmy między setkami strajkujących górników. Towarzyszyły nam gwizdy i niecenzuralne epitety. Po pewnym czasie, po wyjaśnieniu że informacja przekazana przez pana Palkę była wyssana z palca, wznawiano obrady. Po kilku godzinach, ponownie pan Palka opuszczał na chwilę salę obrad i po powrocie przekazywał informacje, że według otrzymanych przed chwilą wiadomości, kopalnia „Chwałowice” została otoczona kordonem milicji i wojska. Podobnie przerywano obrady, które zostały wznowione po wyjaśnieniu, że i ta informacja była nieprawdziwa. Po przedyskutowaniu wszystkich zgłoszonych postulatów, ponowiliśmy starania by w radiu pojawiła się postulowana przez komitet strajkowy informacja. W tym czasie przebywaliśmy w pomieszczeniach biurowych dyrekcji kopalń. Nadeszła sobota. W godzinach wieczornych przyszedł do biura dyrektora przedstawiciel komitetu strajkowego, pan Jarliński. Należy

zaznaczyć, że w tym okresie zawarte już były porozumienia w Szczecinie i Gdańsku. Oświadczył on: „Panowie, jesteście już wszyscy zmęczeni, podpiszmy to porozumienie, aby górnicy mogli od poniedziałku przystąpić do pracy”. Stwierdził jednocześnie, że podpisanie porozumienia musi być poprzedzone ogólnopolską radiową informacją o działalności Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Jastrzębiu. Wiadomość tą przekazaliśmy niezwłocznie ministrowi górnictwa Włodzimierzowi Lejczakowi. Wieczorem i w nocy z soboty na niedzielę, przy udziale przedstawicieli komitetu strajkowego, dokonaliśmy ostatecznego uzgodnienia tekstu porozumienia, który po przepisaniu został powielony i przygotowany do podpisania. Ustalono, że w niedzielę w godzinach porannych zostanie w wiadomościach radiowych podany komunikat o działalności Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, a w godzinach południowych nastąpi podpisanie porozumienia. Fakt ten zostanie także podany w wiadomościach radiowych łącznie z informacją, że w wyniku tego, załogi jastrzębskich kopalń od poniedziałku przystępują do pracy. Gdy w niedzielę rano znajdowaliśmy się z wiceministrem Głanowskim w gmachu Ministerstwa Górnictwa, gotowi do wyjazdu do Jastrzębia, dowiedzieliśmy się, że sekretarz Grudzień stanowczo sprzeciwił się podaniu przez radio uzgodnionych uprzednio informacji. Okazuje się, że w związku z tym doszło do ogromnej scysji między sekretarzem Grudniem i ministrem Lejczakiem. Obsesyjny wręcz sprzeciw sekretarza Grudnia przeciw podaniu tej informacji wynikał z faktu, że wcześniej kilkakrotnie informował on władze w Warszawie, że na jego terenie nie ma żadnych strajków. W tej sytuacji podanie informacji o działalności Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego ujawniłoby kłamliwość jego wcześniejszych meldunków. Należy przypomnieć, że w owym okresie, podanie jakiegokolwiek informacji drogą radiową bez odgórnej akceptacji nie było możliwe. W niedzielę, w godzinach południowych wiceminister Głanowski usiłował nawiązać telefoniczny kontakt z komitetem strajkowym, usłyszał jednak w odpowiedzi, że jego członkowie są zmęczeni i udali się na odpoczynek. Zaproponowano by dalsze rozmowy odbyły się w następnym tygodniu.

Patrząc na tą sprawę z perspektywy czasu trudno jednoznacznie stwierdzić, czy spełnienie, słusznego w zasadzie, postulatu komitetu strajkowego dałoby zapowiadany efekt? Szansę taką zniweczyło jednak obsesyjne stanowisko ówczesnego sekretarza Grudnia. Sytuacja uległa diametralnej zmianie gdy w sprawy te włączyły się centralne władze w Warszawie. W radiu podano żądany komunikat i w dniu 3 września 1980 r. podpisano tzw. „Porozumienie Jastrzębskie”. Na czele reprezentacji rządowej, która podpisała porozumienie, stał ówczesny wicepremier rządu Aleksander Kopeć. W jej skład wchodził, między innymi, minister górnictwa Włodzimierz Lejczak oraz wiceminister Mieczysław Głanowski. Tekst

podpisanego porozumienia różnił się jednak nieco od ustaleń jakie podejmowano w trakcie wcześniejszych rozmów. Poprawki te zostały dokonane w okresie poprzedzającym podpisanie porozumienia. W trakcie dyskusji poprzedzającej podpisanie porozumienia, prowadzonej przez wiceministra Głanowskiego, przyjęto zasadę obniżenia wieku emerytalnego dla pracowników przodkowych do 50 lat, przy jednoczesnym przepracowaniu pod ziemią 25 lat, natomiast przyjęcie zasady przechodzenia na emeryturę bez względu na wiek, po przepracowaniu pod ziemią okresu 25 lat miało być poprzedzone wykonaniem analizy mającej na celu określenie skutków ekonomicznych tego rozwiązania. Warunek ten w końcowej redakcji porozumienia został opuszczony. Wobec przyjęcia w porozumieniu decyzji o wprowadzeniu wolnych sobót wystąpił problem prowadzenia ruchu ścian w trudnych warunkach górniczo-geologicznych. Dwudniowy postój takich ścian powodowałby pogarszanie w nich warunków bezpieczeństwa pracy. Ustalono wówczas, że dyrekcja Rybnickiego Zjednoczenia Węglowego przygotowuje wykaz takich ścian i temat ten będzie przedmiotem dalszych dyskusji. To zagadnienie zostało również pominięte w końcowym tekście porozumienia.

Coroczne rocznice podpisania porozumienia jastrzębskiego obchodzone są bardzo uroczyście. Uczestnicy tego wydarzenia ze strony strajkujących traktowani są jak bohaterowie i wyróżniani odznaczeniami państwowymi. Instytucja powołana do życia dla utrwalenia w pamięci narodowej ważnych wydarzeń w historii naszego kraju, jaką jest Instytut Pamięci Narodowej, zadanie to wykonuje w sposób specyficzny.

Informacje na temat tego wydarzenia podawane są w nieco okrojonej postaci. Podaje się, że górnicy w sposób spontaniczny przystąpili do strajku, w wyniku czego podpisano porozumienie z przedstawicielami rządu. Górnicy wywalczyli wówczas zniesienia czterobrygadowego systemu pracy w kopalniach, wolne soboty oraz podnoszenie zarobków w ścisłej relacji ze wzrostem kosztów utrzymania. W przekazie kreowanym do społeczeństwa „uczeni” z IPN pomijają okoliczności towarzyszące powstaniu tego dokumentu, jak również rolę jaką w tym zakresie wypełnił liczny zespół emisariuszy warszawskich urzędujący w budynku parafialnym kościoła „Na Górze”. Czyżby oni również zasługiwali na miano bohaterów tego wydarzenia? Wydaje się, że Instytut Pamięci Narodowej wybiórczo zalicza część wydarzeń do zasługujących na utrwalenie w pamięci historycznej, część zaś kwalifikuje do grupy „niepamięci” narodowej.

Odejście od pracy w soboty, permanentne akcje protestacyjne oraz związane z tym osłabienie dyscypliny pracy miały wpływ na znaczny spadek poziomu wydobywania węgla. Wobec nadchodzącego szczytu jesienno-zimowego 1980-1981 zachodziła obawa, że nawet

przy wprowadzonej praktycznie likwidacji eksportu węgla mogą wystąpić trudności utrzymania ciągłości dostaw dla przemysłu krajowego, w tym także dla energetyki i ciepłownictwa. Uratowała nas stosunkowo łagodna zima.

Akcja ratownicza w Karlinie

W końcu 1980 r. nastąpiła zmiana na stanowisku ministra górnictwa. W miejsce Włodzimierza Lejczaka został powołany na stanowisko dr inż. Mieczysław Głanowski pełniący do tej pory funkcję podsekretarza stanu – I zastępcy ministra. Był to bardzo trudny okres charakteryzujący się licznymi niepokojami społecznymi oraz znacznymi trudnościami gospodarczymi.

W dniu 9 grudnia 1980 roku w Krzywopłotach koło Karlina, na wiertni „Daszewo I”, w trakcie prowadzonych wierceń doszło do erupcji i zapalenia ropy i gazu ziemnego. Łuna pożaru była widoczna w promieniu kilkunastu kilometrów. W trybie natychmiastowym przystąpiono do zorganizowania akcji ratowniczej. Został powołany sztab akcji, który znalazł siedzibę w pomieszczeniach niewielkiego domu kultury w Karlinie. Kierownictwo akcji objął inżynier Adam Kilar, dyrektor techniczny Zjednoczenia Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, wieloletni, doświadczony pracownik tej branży. Towarzyszył mu dyrektor Przedsiębiorstwa Poszukiwań Nafty i Gazu w Pile inż. Mieczysław Kaczmarczyk oraz szereg specjalistów. Prowadzone były dyskusje na temat wariantów opanowania erupcji. Uruchomiony został równocześnie system ratownictwa w ramach międzynarodowej pomocy krajów RWPG. Już w trzecim dniu docierają na miejsce eksperci z Węgier – naczelnik wydziału BHP w Zjednoczeniu Przemysłu Naftowego i Gazowniczego Tibor Gótz oraz kierownik ratownictwa w węgierskim ratownictwie naftowym Ernő Buda. Rozpatrywane są dwa warianty opanowania erupcji – niestety obydwaj wymagające znacznej ilości czasu. Pierwszy z nich to usunięcie uszkodzonego prewentera stanowiącego zagłowiczenie otworu i instalacja nowej głowicy przeciwerupcyjnej. Drugi wariant to rozpoczęcie wiercenia szybów ratowniczych, które skośnie dojadą do dna płonącego otworu, co pozwoli na obniżenie jego ciśnienia wylotowego. Prace z tym związane musiałyby trwać dwa do trzech miesięcy. Przystąpienie do działań związanych z wymianą uszkodzonego prewentera musiało być poprzedzone wcześniejszym usunięciem ze strefy objętej pożarem wielu ton zniszczonej konstrukcji wieży wiertniczej i obiektów przy niej się znajdujących. Pełne oczyszczenie terenu było podstawą powodzenia dalszych prac. Kierownictwo akcji podjęło także próbę nawiązania kontaktu z dwoma firmami amerykańskimi zajmujących się opanowywaniem takich awarii. Wysłanymi do nich teleksami informowano ich, że mamy taką awarię i zwracaliśmy się do nich z pytaniem czy gotowi są przysłać na miejsce akcji swych specjalistów dla skonsultowania z nimi planu akcji i ustalenia ewentualnych warunków dalszej z nimi współpracy. Odpowiedź jednej z nich, przysłana w połowie grudnia, nie

zawierała odpowiedzi na nasze pytania, natomiast zawierała wykaz sprzętu (pomp i innych urządzeń) jakie firma ta oferowała do wypożyczenia z podaniem dobowych opłat za ich wynajęcie. Druga z amerykańskich firm mających siedzibę w Houston odezwała się po Bożym Narodzeniu i poinformowała nas, że warunkiem współpracy z nią jest otwarcie akredytywy na 250 tysięcy dolarów, wynajęcie samolotu czarterowego, pełne pokrycie kosztów pobytu ich przedstawicieli w Polsce i ich wynagrodzenie w czasie tego pobytu w wysokości pięć tysięcy dolarów na osobę za każdy dzień. Spełnienie tych warunków w ówczesnej sytuacji było niemożliwe, a ponadto odpowiedź ta wpłynęła w czasie gdy prace ratownicze były już daleko zaawansowane.

Tuż po wystąpieniu tej erupcji, z ministrem górnictwa Mieczysławem Glanowskim nawiązał telefoniczny kontakt przedstawiciel ambasady radzieckiej, który zaoferował pomoc specjalistycznych służb w opanowaniu tej katastrofy. Zaznaczył jednocześnie, że pomoc ta, oparta o zasady tradycyjnej współpracy będzie bezpłatna. Postawił jednak warunek by strona polska wystąpiła pisemnie z prośbą o udzielenie takiej pomocy. W tym czasie minister Glanowski przebywał w Katowicach, ja znajdowałem się natomiast w siedzibie ministerstwa górnictwa w Warszawie. Po kontakcie telefonicznym, minister Glanowski polecił mi zredagować treść tego pisma i podpisać go w jego zastępstwie. Pismo to przekazałem niezwłocznie, przybyłemu do ministerstwa górnictwa, przedstawicielowi ambasady radzieckiej (niestety nie zapamiętałem jego nazwiska). W mojej obecności nawiązał on kontakt telefoniczny z Moskwą i przekazał stosowne informacje. W następnym dniu przybył do Warszawy inżynier Leonid Kałyna kierownik ratownictwa naftowego Ukraińskiej SRR mającego siedzibę w Sumie. Zorganizowano mu transport do Karlina, gdzie na miejscu, po zapoznaniu się z sytuacją, wyznaczył imiennie grupę ratowników, którzy w krótkim czasie przybyli na miejsce akcji. Był to zespół reprezentujący wysoki poziom doświadczenia wynikający z faktu wielokrotnego uczestniczenia w tego typu akcjach. Dla kierownika tego zespołu inż. L. Kołyny była to czterdziesta akcja w jego praktyce zawodowej. Ratownicy radzieccy dysponowali specjalistycznym, nowoczesnym wyposażeniem jakiego w tym okresie nie posiadały nasze służby ratownicze. Były to, między innymi, żaroodporne skafandry oraz bogaty zestaw nieiskrzących narzędzi, które w tego typu akcjach odgrywają ogromną rolę w bezpieczeństwie pracy ekip ratowniczych. Z radzieckimi ratownikami współpracowały nasze jednostki ratownicze z Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w Krakowie oraz Okręgowej i centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu. Z pewnym opóźnieniem przybyły do Karlina także radzieckie jednostki pożarnicze, mające siedzibę w Połtawie. Wyposażone były one w ciężkie agregaty gaśnicze służące do gaszenia

tego rodzaju pożarów. Na miejsce akcji przybył również wiceminister geologii Rosyjskiej FSRR Roman Sumbatow. Biorąc pod uwagę ówczesną atmosferę polityczną w naszym kraju, ratownicy radzieccy odmawiali nawet przyjęcia drobnych kwot pieniężnych, które chcieliśmy im przekazać na ewentualny zakup papierosów czy kartek pocztowych.

Metodę opanowania erupcji przedstawił inż. Leonid Kałyna. Polegać ona miała na skierowaniu strumieni wody ponad otwór co umożliwi podniesienie płomienia i ochłodzenie podstawy szybu. Stworzy to warunki umożliwiające wejście pod parasolem wodnym i podjęcie próby zaczopowania otworu. Koncepcja ta została przyjęta, niosła ona jednak duży stopień ryzyka. Przystąpienie do realizacji tego zadania wymagało wykonania ogromnych prac. W tej sytuacji kluczową rolę odegrało wojsko. Od początku prowadzenia akcji żołnierze, pracując w niezwykle trudnych warunkach atmosferycznych, z pełnym zaangażowaniem wykonali ogromny zakres robót. Nad rzeką Radew budowany był ponad pięćdziesięciometrowy pomost dla instalacji stacji pomp, wykonywane były dwa zbiorniki na wodę o pojemności łącznej około jedenastu tysięcy metrów sześciennych. Ze zbiorników tych miała być pobierana woda do zasilania armatek wodnych potrzebnych do użycia w późniejszym etapie akcji. Żołnierze wykonywali także obwałowanie tworzonego zbiornika dla gromadzenia ewentualnego wycieku ropy naftowej. Było to niezbędne dla ochrony rzeki Radew przed zanieczyszczeniem. Odrębne zadanie wykonywała ekipa z Wojskowego Instytutu Techniki Inżynierskiej z Wrocławia działająca pod kierownictwem podpułkownika magistra inżyniera Stanisława Popłońskiego. Unikalnym pojazdem gaśnicowym wyposażonym w cały system elementów chwytakowych zespół ten wykonał prace niemożliwe do wykonania innym sprzętem, oczyszczał teren ze spalonych elementów wieży wiertniczej oraz układał płyty betonowe na drogach dojazdowych wokół otworu.

W szczytowych okresach w akcji uczestniczyło ponad 400 żołnierzy. Niezwykle ważne zadanie usunięcia uszkodzonego prewentera przypadło jednostce artyleryjskiej. Zapoczątkował je działon z jednostki artyleryjskiej Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Strzałami z osiemdziesięciopięciomilimetrowej armaty przeciwpancernej rozbito przeszkadzający w dostępie do otworu sprzęt wiertniczy. Próby z odstrzeleniem uszkodzonego prewentera rozpoczęto przy użyciu granatnika przeciwpancernego SP6-9, następnie w jego miejsce wprowadzono studwudziestodwumilimetrową haubicę. Pod dowództwem dowódcy baterii haubic porucznika Janusza Łapińskiego podjęte zostały dalsze próby odstrzelenia prewentera. W dniu 27 grudnia wystrzelono 21 pocisków przeciw betonowych. W następnym dniu tj. w niedzielę 28 grudnia kontynuowano strzelanie. Osiemnasty z kolei pocisk wystrzelony w tym dniu strącił prewenter. Był to przełomowy

moment prowadzonej akcji. Zwożono tysiące metrów sześciennych żwiru i olbrzymie ilości płyt drogowych, utwardzając place i drogi dojazdowe o łącznej powierzchni ponad siedmiu tysięcy metrów kwadratowych. Załogi przedsiębiorstw eksploatacyjnych montowały w tym czasie rurociągi, którymi po likwidacji awarii, miała płynąć ropa do stacji PKP Karlino.

Miejsce akcji było celem licznych wizyt oficjeli państwowych. Dwukrotnie odwiedzał to miejsce ówczesny wicepremier Aleksander Kopeć, w przeddzień Nowego Roku przybył do Karlina premier Józef Pińkowski, sekretarz KC PZPR Tadeusz Grabski, I sekretarz KW w Koszalinie Waldemar Czyżewski i wojewoda Jan Urbanowicz. Po nowym roku w dniu 12 stycznia wizytę złożył I sekretarz KPZR Stanisław Kania.

Równie ciekawymi wizytami w Karlinie było przybycie w dzień sylwestrowy ówczesnego biskupa koszalińskiego ks. Ignacego Jeża, który przyszedł do siedziby sztabu akcji w towarzystwie miejscowego proboszcza z zamiarem złożenia ekipom ratowniczym życzeń noworocznych oraz wizyta przewodniczącego Lecha Wałęsy, który bez uprzedzenia przyjechał w towarzystwie ponad dwudziesto-osobowej grupy dziennikarzy i fotoreporterów z krajów zachodnich.

Wykorzystaliśmy obecność biskupa Jeża do zreferowania mu założeń i efektów dotychczasowej akcji ratowniczej i zdementowania bzdurnych informacji na ten temat publikowanych przez niektórych dziennikarzy. Biskup był nieco zaskoczony tym, że przypomniałem mu czasy gdy był katechetą w Katowicach. Korzystając z okazji, podziękowałem również proboszczowi za to, że apelując do mieszkańców Karlina o wyrozumiałość dla skutków prowadzonej akcji – stworzył sytuację, że praktycznie codzienne uciążliwe ewakuacje mieszkańców budynków znajdujących się w strefie zagrożonej ostrzałem artyleryjskim przebiegały bez zakłóceń, przy pełnym zrozumieniu takich działań. Pod opieką wyznaczonych pracowników biskup Jeż udał się na teren akcji by złożyć ratownikom noworoczne życzenia. Nieco inaczej wyglądały okoliczności przyjazdu do Karlina przewodniczącego Lecha Wałęsy. Otrzymaliśmy informację, że do Karlina z Gdańska jedzie przewodniczący „Solidarności” Lech Wałęsa w towarzystwie ponad dwudziesto osobowej grupy dziennikarzy i fotoreporterów reprezentujących czasopisma zagraniczne. Ta kolumna samochodów, mimo szlabanu znajdującego się na wyłączonym z szlaku odcinku drogi z Koszalina do Szczecina (z uwagi na znajdujący się w niewielkiej odległości od niej płonący słup ognia), nie chciała skorzystać z wyznaczonego objazdu. Po poinformowaniu jadących, że mają się udać do siedziby sztabu akcji, samochody po przejechaniu objazdem nadal usiłowały dostać się na teren prowadzonej akcji z drugiej strony drogi również zamkniętej szlabanem. Tam ponownie jadący zostali poinformowani, że są oczekiwani

w siedzibie sztabu akcji. Po przybyciu do siedziby sztabu, przewodniczący Wałęsa z całą towarzyszącą mu grupą wszedł do sali w której znajdowało się kierownictwo akcji i tam w stanie silnego wzburzenia, gestykulując rękami zarzucił obecnym, że jest szykanowany i uniemożliwia mu się kontakt z zatrudnionymi przy akcji pracownikami. W trakcie tych wypowiedzi, towarzyszący mu mężczyzna w kolejarskim mundurze podawał mu papierośnicę i zapalał branego przez niego papierosa. W tym czasie masowo błyskały flesze lamp błyskowych i robiono zdjęcia znajdującym się na sali. Po chwili głos zabrał kierownik akcji ratowniczej inżynier Adam Kilar. Zwracając się do przewodniczącego Wałęsy powiedział: *Panie przewodniczący, nazywam się Adam Kilar, jestem kierownikiem prowadzonej tu akcji ratowniczej i jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo ludzi tutaj się znajdujących. W Polsce może być burdel ale tutaj na terenie za który odpowiadam musi być porządek. Nikt pana nie szykanuje. Był tutaj I sekretarz KCPZPR Stanisław Kania, był premier Józef Pinkowski, był wicepremier Kopeć i musieli oni zastosować się do rygorów tutaj obowiązujących. Pana to również obowiązuje. Czego pan od nas oczekuje?*

Przewodniczący Wałęsa, już w spokojnej formie, oświadczył, że zamierza spotkać się z pracującymi przy akcji pracownikami. Na pytanie czy zamierza to zrobić sam, czy w nieco większym gronie odpowiedział, że chciałby tą wizytę zrealizować w towarzystwie przybyłych z nim dziennikarzy. Inżynier Kilar poinformował go, że udający się na teren prowadzonej akcji ratowniczej nie mogą posiadać na sobie odzieży wykonanej z materiałów syntetycznych (z uwagi na ich łatwopalność). Cała grupa została ubrana w tzw. „kufajki”, wyposażona w hełmy i pod opieką wyznaczonych pracowników udała się na spotkanie z ratownikami. Warto przy okazji przypomnieć o mało znanym epizodzie związanym z akcją karlińską. Po nowym roku zostałem zawiadomiony, że w trybie natychmiastowym mam skontaktować się telefonicznie z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim. Problem polegał na tym, że miałem tą rozmowę prowadzić w oparciu o linię rządową WCZ, a takich aparatów w Karlinie nie było. W nocy musiałem pojechać do Koszalina i tam skorzystać z jednego z aparatów, które znajdowały się w gabinetach wojewody oraz sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Po wielu perturbacjach dotarłem do aparatu w gabinecie wojewody i nawiązałem łączność telefoniczną z wicepremierem Jagielskim. Powiedział on, że w Warszawie zatrzymał się w drodze z Moskwy do Stanów Zjednoczonych pan Hammer – multimiliarder amerykański, który w rozmowie z wicepremierem Kisielom oświadczył, że wiedząc o awarii w Karlinie gotów jest z własnych środków pokryć wszelkie koszty związane z udziałem ekip amerykańskich w akcji likwidacji tej erupcji. Zostałem zapytany o to jakiej odpowiedzi należy udzielić panu Hammerowi w związku z jego propozycją.

Odpowiedziałem, że należy mu podziękować za jego dobre intencje, ale obecnie, gdy akcja zmierza ku końcowi, pojawienie się ekip amerykańskich w Karlinie wywołałoby burzę polityczną. Zazaczyłem, że oferta taka złożona w początkowej fazie akcji byłaby niewątpliwie przyjęta, a proponowana obecnie nie ma sensu. Wicepremier Jagielski podkreślił, że sprawa jest niezwykle poważna i proponował bym ją jeszcze przemyślał i dał mu ostateczną odpowiedź w następnym dniu. Odpowiedziałem, że moja odpowiedź byłaby taka sama. W dwa dni po tej rozmowie przyjechał do Karlina przedstawiciel ambasady radzieckiej i poprosił mnie o spotkanie. Biorąc pod uwagę jego sposób bycia i formę prowadzonej rozmowy sprawiał wrażenie nie tyle dyplomaty ile pracownika wiadomych służb. Oświadczył mi, że strona radziecka udzieliła nam bezinteresownej pomocy, a my za ich plecami prowadzimy rozmowy z Amerykanami. Stwierdził ponadto, że gdyby w Karlinie pojawił się jakiś Amerykanin, radzieckie służby ratownicze zostaną natychmiast wycofane. Rozmowa ta nie należała do przyjemnych. Wy tłumaczyłem memu rozmówcy, że mają złych informatorów. Poza zapytaniem skierowanym do dwóch firm amerykańskich na początku awarii żadnych rozmów „poza plecami” strona polska nie prowadzi, natomiast jesteśmy bardzo zadowoleni z udziału w akcji radzieckich służb ratowniczych. Akcja ratownicza była dalej prowadzona. W dniu 8 stycznia 1981 roku podjęto próbę stworzenia parasola wodnego nad płonącym otworem dla umożliwienia dojścia ratowników do wylotu otworu. Strażacy kierując wodę z 12 armatek wodnych w stronę płonącego otworu, w pierwszym momencie uzyskali zamierzony efekt, natomiast zadowoleni z tej sytuacji, wbrew wcześniejszym ustaleniom zgasili płomień. Było to sprzeczne z ustalonym wcześniej programem. Zgaszenie ognia pozwoliło ekipom ratowniczym na podejście do wlotu otworu i zbadanie jego stanu. Po wykonaniu tego zadania strumień ropy i gazu został ponownie podpalony. Dokonał tego, przy użyciu raketnicy, inż. Leonid Kałyna. Ratownicy, wracający po wykonaniu zadania byli oblepieni grubą warstwą ropy wymieszanej z grudkami lodu. W sobotę 10 stycznia podjęta została próba zamontowania nowego prewentera. Ugaszenie ognia nastąpiło przy użyciu radzieckich agregatów gaśniczych. Po schłodzeniu wylotu otworu i wykonaniu przez ratowników prac przygotowawczych nastąpiło założenie nowego prewentera. Użyto do tego ciężkiego dźwigu „Demag” sprowadzonego z Katowic. Po godzinie osiemnastej zakończono praktycznie akcję ratowniczą ale wypełnianie ropą karlińską pierwszych cystern na stacji w Karlinie miało miejsce w dniu 15 stycznia 1981.

Jako odpowiedzialny w resorcie górnictwa za sektor nafty i gazu, uczestniczyłem w akcji karlińskiej ponad miesiąc. Byłem świadkiem ogromnego zaangażowania i ofiarności biorących udział w tej akcji ludzi. Ogromny wkład w realizacji szerokiego wachlarza zadań

wniosły, obok służb ratowniczych, jednostki wojska polskiego. Na szczególne słowa uznania zasługują osoby majora Leśniewskiego i podpułkownika Więcka, którzy w całym okresie prowadzonej akcji byli zawsze przy wykonywanych przez wojsko pracach i brali aktywny udział w działalności sztabu akcji. Podpułkownik Stanisław Popłoński, który przez długi okres czasu kierował unikalnym pojazdem gaśnicowym, operującym w niewielkiej odległości od ogniska pożaru, doznał lekkiego poparzenia twarzy. Mimo tego, nie zrezygnował z dalszego wykonywania swych obowiązków. Na przypomnienie zasługuje przypadek inżyniera Mściwoja Pluteckiego, pracownika Okręgowej Dyrekcji PKP z Gdańska. Po wzięciu urlopu przyjechał do Karlina i zaoferował swoje usługi. Był specjalistą w dziedzinie budownictwa lądowego. To on zaproponował zastosowanie specjalnej włókniny do umocnienia budowanych, rozmiękłych wałów ziemnych. Włóknina ta nie była w owym czasie produkowana w Polsce. Inżynier Plutecki, wykorzystując swoje kontakty spowodował, że przedstawicielstwo koncernu chemicznego DU PONT-a w Polsce wraz z brytyjską firmą JCJ przekazało bezpłatnie potrzebną ilość włókniny dla potrzeb prowadzonej akcji.

Oceniając z perspektywy czasu akcję ratowniczą w Karlinie należy stwierdzić, że w warunkach zaistniałej katastrofy ludzie, pochodzący nawet z różnych środowisk, potrafili zjednoczyć swe siły dla osiągnięcia wyznaczonego celu, dając przykłady niezwykłego zaangażowania i ofiarności.

Połączenie resortów górnictwa i energetyki.

W lipcu 1981 roku zapadła decyzja o połączeniu, działających dotychczas odrębnie, resortów górnictwa i energetyki. W dniu 3 lipca 1981 roku na stanowisko ministra nowoutworzonego resortu został powołany gen. dyw. dr inż. Czesław Piotrowski. Dr inż. Mieczysław Głanowski, pełniący przedtem stanowisko ministra górnictwa – został I zastępcą ministra nowo powołanego resortu. Był to okres burzliwych wydarzeń w kraju, anarchizacji życia, ciągłych strajków i pogarszającej się sytuacji gospodarczej. W tych warunkach minister Piotrowski, z właściwą sobie energią i zapałem przystąpił do pracy związanej z reorganizacją branży paliwowo-energetycznej. Decyzja o utworzeniu tego nowego resortu była ze wszech miar słuszna, albowiem funkcjonując w takiej strukturze organizacyjnej w poprzednich latach sektor paliwowo-energetyczny nie działał w Polsce w sposób optymalny, a jego podział okazał się decyzją niezbyt fortuną. Ponieważ ministerstwo górnictwa miało swoją siedzibę w lewym skrzydle budynku przy ul. Kruczej, a ministerstwo energetyki w budynku przy ul. Mysiej, minister Piotrowski, chcąc połączeniu resortów nadać jak najbardziej „pokojowy” charakter, postanowił siedzibę nowego resortu ulokować na neutralnym terenie tzn. w prawym skrzydle budynku przy ul. Kruczej w pomieszczeniach zwolnionych po zlikwidowanym ministerstwie przemysłu maszynowego. Tworzona była równolegle nowa struktura organizacyjna nowego resortu i dokonywane niezbędne przesunięcia kadrowe. Te niełatwe działania minister Piotrowski realizował z niezwykłym taktem i wysoką kulturą. Pytany przy różnych okazjach, przez dociekliwych dziennikarzy o stopień znajomości problematyki górnictwa, odpowiadał, że stanowisko ministra powierzono mu dla zorganizowania nowego resortu, a pełną znajomość problemów górnictwa posiadają wiceministrowie w jego resorcie. Minister Piotrowski cechował się niezwykłą życzliwością do ludzi. Wielokrotnie angażował się w udzielanie pomocy osobom tej pomocy potrzebującym, często w sytuacjach gdy brał na siebie osobistą odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Taki sposób bycia mógł wynikać z jego dramatycznych przeżyć w okresie młodości. Pochodził z rodziny zamieszkałej na Wołyniu. W roku 1941 umarła mu matka, a w lutym 1943 roku nacjonaliści ukraińscy zamordowali mu ojca i starszego brata. Do lipca 1943 roku, jako niepełnoletni, z bronią w ręku walczył w obronie swej rodzinnej miejscowości Huty Stepańskiej przed hordami UPA. W lipcu 1944 roku wstąpił do Wojska Polskiego. Okres mojej współpracy z ministrem Piotrowskim wspominam niezwykle ciepło. Był doskonałym gawędziarzem, niezwykle towarzyskim i uczynnym. Był powszechnie szanowany i lubiany.

Wprowadzenie stanu wojennego wywołało w górnictwie nową sytuację. W niektórych kopalniach zostały zorganizowane protestacyjne strajki. Zgodnie z regułami obowiązującymi w okresie stanu wojennego były one nielegalne. W związku z czym podjęte zostały działania zmierzające do ich likwidacji. W niektórych przypadkach odstępowano od strajków w wyniku przeprowadzanych negocjacji, w niektórych zaś doszło do działań likwidacyjnych przy zaangażowaniu jednostek milicyjnych oraz wojska (czyli według określeń Instytutu Pamięci Narodowej: *działań zorganizowanego związku przestępczego o charakterze zbrojnym*). W dniu 16 grudnia 1981 r. w trakcie przeprowadzania akcji w kopalni „Wujek” doszło do użycia broni palnej w wyniku czego zginęło 9 górników, a kilku innych zostało rannych. Był to wielki dramat. Do dzisiaj nasuwa się pytanie czy musiało dojść do takiej tragedii? Instytut Pamięci Narodowej (który winien nazywać się Instytutem Wybiórczej Pamięci Narodowej) przekazał opinii publicznej opis tego wydarzenia, według którego oddział milicji w trakcie akcji pacyfikacyjnej kopalni zaczął strzelać bez uzasadnienia do protestujących górników. To dramatyczne wydarzenie wymaga jednak nieco szerszego naświetlenia. Trzeba stwierdzić, że organizujący akcję protestacyjną w kopalni „Wujek” od początku przygotowywali się do konfrontacji z siłami przeprowadzającymi interwencję. Przygotowywane były środki do ewentualnego starcia z tymi siłami w postaci zaostrzonych prętów metalowych, kilofów, siekier oraz elementów metalowych do obrzucania nimi wkraczających na teren kopalni. Dyrektorem kopalni był w tym czasie inż. Maciej Zaręba a naczelnym inżynierem inż. Piotr Kościelny. Kierownictwo kopalni, śledząc na bieżąco powstałą sytuację, usiłowało osobom kierującym strajkiem wytłumaczyć zagrożenie dla ludzi wynikające z przyjętej taktyki postępowania sugerując jednocześnie rezygnację z założeń konfrontacji z siłami porządkowymi. Rozmowy te nie dały efektów. Niechlubną rolę w tej sytuacji odegrał miejscowy proboszcz ksiądz Bolczyk. Będąc w stałym kontakcie ze strajkującymi, odprawiając msze na terenie kopalni zaogniał jednocześnie stan emocjonalny protestujących kierując do nich, między innymi, hasła że „dla idei nie szkoda życia”. Na krótko przed podjęciem akcji przez siły porządkowe, naczelnym inżynier kopalni inż. Piotr Kościelny, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, odbył z księdzem Bolczykiem długą rozmowę prosząc go by wpłynął na wygaszenie emocji u strajkujących w celu uniknięcia niebezpiecznego rozwoju wydarzeń. Ksiądz Bolczyk odmówił takiej interwencji uznając, że nie ma do tego moralnego prawa. Dziwić musi zajęcie takiego stanowiska przy jednoczesnym niezrozumiałym prawie do podburzania strajkujących górników. Po wejściu na teren kopalni sił porządkowych doszło do starcia ze strajkującymi, w trakcie którego, na skutek użycia broni palnej zginęli górnicy, a część z nich odniosła rany. O tym, że doszło do

normalnej bijatyki świadczy między innymi, fakt, że jeden z oficerów milicji został przez strajkujących „wzięty do niewoli”. Trudno założyć, że zrobił to z własnej woli.

Gdy mówi się o rannych górnikach nie podaje się natomiast informacji ilu biorących w tej akcji funkcjonariuszy milicji musiało również korzystać z pomocy szpitalnej. To tragiczne wydarzenie zmusza do głębszej refleksji. Mam osobiste odczucie, czy znajdowało uzasadnienie skierowania do tego typu akcji funkcjonariuszy wyposażonych w broń z ostrą amunicją. Znane są bowiem, stosowane w takich sytuacjach inne środki, których użycie nie stwarza zagrożenia życia. Nie żyjący już były komendant wojewódzki milicji w Katowicach generał Jerzy Gruba, w rozmowie ze mną, przekazał mi ciekawą informację. Jak oświadczył, po tym tragicznym wydarzeniu, zwrócił się do niego biskup katowicki Herbert Bednorz z pytaniem czy milicja dysponuje nagraniami z wystąpień księdza Bolczyka w trakcie strajku w kopalni „Wujek”. Nagrania takie były w posiadaniu milicji i zostały biskupowi udostępnione. W niedługim czasie ksiądz Bolczyk przestał pełnić funkcję proboszcza tej parafii.

Kierownictwo resortu jak i cała społeczność górnicza przeżyły głęboko tragedię jaka miała miejsce w kopalni „Wujek”. Cały nasz wysiłek skierowany był w tym okresie na stabilizację sytuacji w górnictwie, wzrost wydobywania węgla, którego braki w gospodarce narodowej dawały się odczuwać coraz dotkliwiej oraz na zapewnienie społeczeństwu dostaw energii elektrycznej. W maju 1986 roku zmieniłem miejsce pracy w związku z powołaniem mnie na stanowisko prezesa Wyższego Urzędu Górniczego. Minister Piotrowski, we wrześniu 1986 r., nie godząc się z zamiarem rządu odnośnie reorganizacji podległego mu resortu, złożył na ręce premiera rezygnację ze stanowiska ministra górnictwa i energetyki.

Powrót do pracy w Wyższym Urzędzie Górniczym

Na stanowisko prezesa Wyższego Urzędu Górniczego zostałem powołany przez premiera Zbigniewa Messnera z dniem 1 maja 1986 roku. Na stanowisku tym zastąpiłem mgr inż. Władysława Naglika, który podjął decyzję o przejściu na emeryturę. Okres mojej prezesury oceniam jako dosyć trudny w działalności urzędów górniczych. W czasie tym miały miejsce częste zjawiska niepokoju społecznych mające wpływ na osłabienie dyscypliny pracy. Miało to również miejsce w zakładach górniczych i negatywnie wpłynęło na warunki bezpieczeństwa pracy. W zaistniałej sytuacji działalność urzędów górniczych wymagała szczególnej aktywności.

W kwietniu 1988 roku Prezes Rady Ministrów powołał Komisję do spraw reformy prawa górniczego i geologicznego. Jako prezes WUG zostałem powołany na przewodniczącego tej Komisji. Moimi zastępcami zostali: Mieczysław Piątek - wiceprezes WUG, Wiesław Śliżewski - podsekretarz stanu w Ministerstwie Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, Główny Geolog Kraju oraz Andrzej Wróblewski - podsekretarz stanu w Ministerstwie Przemysłu. W skład 31-osobowej Komisji wchodziła przedstawiciele zainteresowanych resortów, przedstawiciele świata nauki, oraz praktycy, reprezentanci poszczególnych gałęzi polskiego górnictwa. Zadaniem Komisji było opracowanie projektów ustaw - prawo górnicze i prawo geologiczne, łącznie z przewidzianymi w nich projektami zasadniczych aktów wykonawczych, w celu dostosowania tych ustaw i aktów wykonawczych do obecnych i perspektywicznych potrzeb społeczno-gospodarczych kraju, zwłaszcza zaś do potrzeb wprowadzanej reformy gospodarczej.

W trakcie swej działalności Komisja wysunęła podstawowy wniosek aby zasady ujęte w prawie górniczym i geologicznym ująć w jednym, wspólnym akcie normatywnym. Uznano, że dokonany w minionym okresie rozdział tych aktów normatywnych był niefortunny, bowiem trudno ustalić granicę między zadaniami geologii i górnictwa - problemy te wzajemnie się przenikają, i winny być rozwiązywane kompleksowo. W związku z tym opracowany został jeden projekt założeń ustawy o działalności geologicznej i górniczej.

Istotnym elementem założeń reformy Prawa Górniczego i Geologicznego było wprowadzenie obowiązku tworzenia tzw. „opłaty eksploatacyjnej” naliczanej od ilości wydobytych kopalin. Dyskusja na temat zasadności wprowadzenia takiej opłaty toczyła się od wielu lat. Jest sprawą bezsporną, że działalność górnicza wywołuje określone szkody i uciążliwości na terenach gmin górniczych. Usuwanie stwierdzonych szkód finansowane jest przez zakłady górnicze z tzw. „funduszu szkód górniczych”. Poza tą grupą szkód występuje

jednak cały szereg uciążliwości i skutków wywołanych eksploatacją górnictw, które nie są finansowane z tego funduszu. Są to między innymi zaburzenia stosunków wodnych, zwiększone koszty budownictwa i inne. Komisja przyjęła, że opłata eksploatacyjna winna stanowić rekompensatę dla gmin górnictw za te niewątpliwe utrudnienia i dodatkowe koszty związane z prowadzoną na ich terenie działalnością górnictw. Komisja przyjęła, że opłata ta w całości winna zasilać budżety gmin górnictw.

Krytycznie ocenić należy fakt, że w toku procesu legislacyjnego, na skutek zabiegów środowisk warszawskich przyjęto, że opłata ta winna w części zasilać dochód Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej i być wykorzystywana na finansowanie badań geologicznych. Jak się jednak w praktyce okazało, środki te wykorzystywane były głównie na cele nie mające żadnego związku z badaniami geologicznymi.

Innym ważnym problemem omawianym w trakcie prac Komisji było funkcjonowanie Okręgowych i Odwoławczych Komisji do spraw szkód górnictw działających przy okręgowych i Wyższym Urzędzie Górnictw. Ich wieloletnia działalność była pozytywnie oceniana. Były one rozjemcą w rozstrzyganiu trudnych spraw związanych ze szkodami górnictwymi, a ponadto w ramach swej działalności pomagały poszkodowanym radą oraz poprzez opracowywanie niezbędnych ekspertyz. O właściwej pracy tych komisji świadczy fakt, że przy rozpatrywaniu tysięcy spraw w skali roku, ilość odwołań do Komisji Odwoławczej była niewielka. W trakcie prac Komisji, jej członek reprezentujący Ministerstwo Sprawiedliwości, pan sędzia Marek Gintowt stwierdził, że zgodnie z przyjętą polityką, komisje te winny ulec likwidacji a ich obowiązki przejęłyby sądy powszechne. Uznałem, że rozwiązanie takie, wobec braku dostatecznej liczby specjalistów w strukturach sądów, wydłużyłoby okres rozpatrywanych spraw a ponadto obciążało poszkodowanych dodatkowymi obowiązkami. Po dosyć długiej wymianie argumentów pan Marek Gintowt zgodził się na to by okręgowe komisje do spraw szkód górnictw nadal funkcjonowały z tym, że odwołujący się od ich decyzji mieliby możliwość odwoływania się nie tylko do komisji odwoławczej ale również do sądu. Takie rozwiązanie znalazło swój wyraz w opracowanych założeniach reformy prawa górnictw i prawa geologicznego. Mimo tego, że projekt tych założeń uzyskał w maju 1990 roku aprobatę Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, zaś w czerwcu tego roku został przyjęty przez Radę Ministrów, z nieznanymi mi przyczyn, w trakcie dalszych prac Komisji podjęto decyzję o likwidacji komisji do spraw szkód górnictw co wywołało w praktyce szereg negatywnych skutków.

W związku z moim przejściem na emeryturę z dniem 1 lipca 1990 roku - od sierpnia 1990 roku Komisja do spraw reformy prawa górnictw i prawa geologicznego kontynuowała

prace w zmienionym składzie. Jej kierownictwo przejął prof. Maksymilian Pazdan - kierownik Katedry Międzynarodowego Obrotu Cywilnego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Warto przypomnieć o dosyć dziwnych okolicznościach jakie towarzyszyły mojemu odwołaniu z funkcji prezesa WUG i powołaniu na to stanowisko mojego następcy. W końcu czerwca 1990 roku zostałem zawiadomiony, że mam się zgłosić u Szefa Urzędu Rady ministrów pana ministra Jacka Ambroziaka. Po przybyciu na miejsce, w jego sekretariacie spotkałem czekającego, jak się później okazało, mojego następcę pana Janusza Steinhoffa, w owym czasie pracownika Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Zostałem wezwany do Gabinetu Ministra Ambroziaka, który oświadczył mi, że w imieniu premiera Mazowieckiego pragnie podziękować mi za dotychczasową pracę. Jednocześnie poinformował mnie, że pan premier nie ma żadnych zastrzeżeń w stosunku do mojej osoby, ale z uwagi na ogólną sytuację polityczną w kraju, podjął decyzję o moim odwołaniu. Po odebraniu odpowiedniego dokumentu zostałem poproszony o pozostanie w gabinecie, do którego został wezwany pan Janusz Steinhoff. Po poinformowaniu go o powołaniu jego osoby na stanowisko Prezesa WUG, złożeniu mu życzeń owocnej pracy i wręczeniu aktu powołania minister Ambroziak pożegnał się z nami nie proponując w jakiej formie nowo powołany prezes ma być wprowadzony do nowej instytucji.

Była to sytuacja bezprecedensowa bowiem według wieloletnich zwyczajów wprowadzanie nowo powołanego kierownika każdej instytucji odbywało się w obecności jego przełożonego względnie osoby jego reprezentującej. Po wyjściu z Gabinetu Ministra pan Steinhoff wyraził życzenie rozmowy ze mną. Udaliśmy się do siedziby delegatury WUG przy ul. Kruczej i tam zaproponowałem mu formę wprowadzenia do nowej instytucji. Ustaliliśmy, że w następnym dniu zaprosimy do siedziby WUG w Katowicach dyrektorów najbliższej położonych Okręgowych Urzędów Górniczych oraz dyrektorów departamentów i na tym spotkaniu poinformujemy zebranych o moim odwołaniu i przedstawię osobę nowo powołanego prezesa Janusza Steinhoffa. I tak się stało. W czasie mojego dosyć długiego okresu pracy zawodowej po raz pierwszy zetknąłem się z tak kuriozalną sytuacją towarzyszącą powołaniu na stanowisko kierownika państwowego urzędu centralnego.

Mój udział w działalności Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa

Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Górnictwa w roku 2012 obchodziło jubileusz 120-lecia swego istnienia. W okresie swej ponad stuletniej działalności Stowarzyszenie to wniosło ogromny wkład w rozwój polskiego górnictwa i geologii. Swe statutowe zadania realizowało ono głównie poprzez kultywowanie tradycji górniczych, krzewienie oświaty i kultury technicznej, upowszechnianie doświadczeń w dziedzinie nauki i techniki, podnoszenie kwalifikacji zawodowych kadry technicznej, popularyzowanie twórców nowej techniki oraz ochronę godności zawodu i reprezentowania interesów członków SITG. Jednym z podstawowych założeń było zawsze integrowanie środowiska inżynierów i techników poprzez budowanie i zacieśnianie związków koleżeńskich, organizowanie życia kulturalnego i towarzyskiego członków SITG i ich rodzin.

Od 1956 roku byłem członkiem SITG. W latach 1975-1981 oraz 1983-1991 pełniłem funkcję prezesa Zarządu Głównego tej organizacji, zaś w latach 1981-1983 gdy prezesem został dr inż. Mieczysław Głanowski, pełniłem funkcję wiceprezesa. Od kwietnia 1975 r. do 1 stycznia 2005 r., a więc prawie przez okres 30 lat pełniłem funkcję redaktora naczelnego „Przeglądu Górniczego” – miesięcznika Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa, o ponad 100-letnich tradycjach wydawniczych. Wchodziłem w skład Rady Naukowej tego czasopisma. Posiadam tytuł Honorowego Członka SITG. Pełniłem dwie funkcje w Stowarzyszeniu – przewodniczącego Sądu Koleżeńkiego oraz przewodniczącego Komisji Wyróżnień i Odznaczeń. Posiadam także tytuł Honorowego Członka Stowarzyszenia Inżynierów Indii.

Jerzy Malara (1928 – 2013)



Urodził się 11 maja 1928 roku w Sosnowcu.

Ojciec Józef był uczestnikiem III Powstania Śląskiego, weteranem wojny polsko-bolszewickiej (był ciężko ranny). Matka Stefania z domu Opara pochodziła z rodziny górniczej z Czeladzi.

W okresie międzywojennym rodzina mieszkała w Katowicach. Tam Jerzy rozpoczął naukę w szkole powszechnej im. Bartosza Głowackiego, którą to przerwał wybuch II wojny światowej. Rodzina została wysiedlona z Katowic i przeniosła się do Warszawy, gdzie w innej rzeczywistości Jerzy ukończył szkołę powszechną, a w tajnym gimnazjum zaliczył dwie klasy.

Po zajęciu przez Niemców Starego Miasta, w trakcie Powstania Warszawskiego, został wywieziony do obozu pracy w Schlensingen w Turynii, gdzie pracował jako robotnik w zakładach zbrojeniowych.

W kwietniu 1945 roku, po wyzwoleniu przez wojska amerykańskie, został umieszczony w obozie dla obcokrajowców w Eisenach, a potem w Coburgu (Bawaria). Tam uczęszczał do polskiego gimnazjum (im. I. Paderewskiego), i zdał małą maturę.

W 1946 roku wraca do Polski i w Katowicach w 1947 roku kończy liceum egzaminem maturalnym.

W tymże roku podejmuje pracę w Instytucie Naukowo-Badawczym Przemysłu Węglowego w Katowicach (obecnie Główny Instytut Górnictwa) jako laborant w Dziale Wzbogacania i Petrografii Węgla. W krótkim czasie rozpoczyna studia na Wydziale Górniczym AGH uzyskując w 1952 roku dyplom inżyniera górniczego. Nakazem pracy wraca do GIG-u, gdzie zatrudniono go jako asystenta w Zakładzie Górniczym.

Następnie zostaje przeniesiony do Kopalni „Jowisz” w Wojkowicach Śląskich, w której pełni kolejne funkcje do nadsztygara, będąc równocześnie kierownikiem kopalnianej stacji ratownictwa górniczego.

W 1955 roku zostaje przeniesiony do Dąbrowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego na stanowisko inspektora wentylacji. A w 1956 był powołany na stanowisko naczelnego inżyniera w Kopalni „Generał Zawadzki”, a w 1958 roku zostaje dyrektorem tej

kopalni. W tym czasie uzupełnia studia na Wydziale Górniczym AGH uzyskując dyplom magistra inżyniera górnictwa.

W latach 1969 – 1974 pracuje w Wyższym Urzędzie Górniczym na stanowisku Wiceprezesa. Następnie zostaje przeniesiony do Ministerstwa Górnictwa i Energetyki, gdzie powołano go na stanowisko Generalnego Dyrektora. W latach 1978 – 1986 pełni funkcję Wiceministra (Podsekretarza Stanu). W 1986 roku zostaje powołany na Prezesa Wyższego Urzędu Górniczego pełniąc tą funkcję do przejścia na emeryturę w czerwcu 1989 roku.

Był członkiem Stowarzyszenia Wychowanków Akademii Górniczo-Hutniczej.

Dwukrotnie (1975 – 1981 i 1983 – 1991) był Prezesem Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa. Został Honorowym Prezesem SITG. Zostaje przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego oraz przewodniczącym Komisji Wyróżnień i Odznaczeń.

W latach 1975 – 2005 był redaktorem naczelnym Przeglądu Górniczego. Od 2009 roku wchodził w skład Rady Programowej, a następnie Rady Naukowej Przeglądu Górniczego pełniąc funkcję sekretarza tych organów.

Przez wiele lat był członkiem Komitetu Organizacyjnego Światowego Kongresu Górniczego, pełnił też funkcję przewodniczącego Polskiego Narodowego Komitetu Organizacyjnego tej Międzynarodowej Organizacji, został też Honorowym Członkiem Komitetu Organizacyjnego ŚKG.

Współpracuje z organizacjami górnictwami zagranicą. Zostaje Honorowym Członkiem Stowarzyszenia Inżynierów Indii. Otrzymał odznaczenia i wyróżnienia zagraniczne – radzieckie, węgierskie, czechosłowackie i jugosłowiańskie.

Posiada liczne odznaczenia krajowe: Krzyż Komandorski (1998), Krzyż Kawalerski i Oficerski Orderu Odrodzenia Polski; Brązowy i Złoty Krzyż Zasługi; Order Sztandaru Pracy I i II klasy; Medal Zasłużonego Górnika PRL; Medal Zasłużonego dla Zdrowia Narodu.

Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Górnictwa uhonorowało Jerzego Malare odznaczeniami: Zasłużony Działacz SITG, Złotą i Srebrną Odznaką Zasłużony dla Stowarzyszenia, Laurem Zasług. Posiadał Złotą i Srebrną Odznakę Naczelnej Organizacji Technicznej.

Jerzy Malara jest autorem i współautorem wielu artykułów publikowanych na łamach czasopism technicznych oraz referatów prezentowanych na sympozjach krajowych i zagranicznych. W ostatnich latach przeprowadził krytyczną analizę okresu restrukturyzacji górnictwa na tle historii międzywojennej i powojennej przemysłu węglowego. Opublikował w Czasopiśmie Technicznym obszerny artykuł „Restrukturyzacja czy likwidacja polskiego przemysłu węglowego” (nr 140 z 2009 r.). Na ten temat pisał też w czasopiśmie

Stowarzyszenia Wychowanków AGH – Vivat Akademia. Na łamach Wspólnych Spraw czasopisma SITG opublikował analizę „Ocena aktualnej sytuacji i perspektyw krajowego górnictwa węglowego”, a w roku 2013 dwuczęściowy esej „Restrukturyzacja górnictwa węgla kamiennego – mity i fakty”, a także analizę „Wpływ eksportu węgla na wyniki ekonomiczne przemysłu węglowego”.

Jerzy Malara był w latach 2011 – 2012 publicystą Nowego Kuriera – Polish Canadian Independent Courier (Toronto – Kanada) zamieszczając w nim swe felietony.

Całe życie kierował się dewizą Stanisława Staszica: „BYĆ NARODOWI UŻYTECZNYM”. Życiowymi autorytetami był właśnie Stanisław Staszic oraz Bolesław Krupiński. Jego pasją była filatelistyka, wędkowanie i majsterkowanie.

Jerzy Malara zmarł w Katowicach 15 listopada 2013 roku. Jest pochowany na Cmentarzu przy ul. Sienkiewicza.